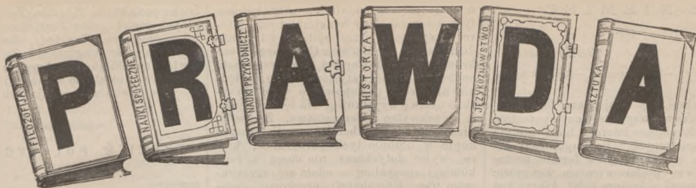
Nr. 10. Warszawa, dnia 9 Marca (25 Lutego) 1895 r. Rok XV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Prenumeratorom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

Z DALEKIEGO WSCHODU.

Doniesienie telegrafu zamorskiego o wyznaczeniu Li-hung-Czanga na głównego pełnomocnika do układów o pokój przyniosło wprawdzie zapowiedź zaprzestania wojny, ale przy znanem krętactwie chińskiem można przewidywać długie jeszcze namysły i zwłoki, zanim syn nieba rzeczywiste już rokowania z wrogiem zawiąże. Okolicznością opóźniającą jest odmowa Japonii, która nie chce przysłać przedstawicieli swoich do Port-Arthuru i wymaga prowadzenia układów na swojem terytoryum. Zanim się Li-hung-czang, człowiek już stary, wybierze w drogę, mogą jeszcze tygodnie całe upłynąć. Nadzieja jedynie w tem, że chińczykom w południowej Mandżuryi nie powiodło się przełamać wojsk generała Nodsu, postępujących pod Niu-Czuang, przed blizkim już powrotem na widownię wojenną korpusu japońskiego, który po zdobyciu Port-Arthuru przerzucił się przez morze pod Wei-hai-wei i tę drugą warownię również zdobył, jak i pierwszą. Wkrótce już nieliczny korpus japoński pod Fu-czengiem otrzyma posiłki, wystarczające do wyjścia z pozycyi obronnej, a jednocześnie i wewnętrzne Morze Żółte zrzuci z siebie skorupę lodową przy brzegach i pozwoli flocie współdziałać z wojskiem lądowem, już po za granicami Mandżuryi, bliżej Pekinu.

Zwiastunem momentu psychologicznego, od którego zacznie się szczere już postanowienie Chin zawarcia pokoju, jest akt jedyny w swoim rodzaju, akt niezrozumiały dla umysłu europejskiego ze stanowiska pojęć o państwie i państwowości i dający się wyrozumieć tylko w świetle odwiecznych tradycyj i obyczajów, wrosłych głęboko w narodowość chińską. Cesarz Kuang-su wystosował na początku roku do Tsung-li-Jamenu, swego ministeryum spraw zagranicznych, odezwę, ogłoszoną przez gazetę pekińską, a w tej odezwie staje przed narodem swoim jako winowajca i pokutnik. Opowiada młody władca, jak go japończycy niesprawiedliwie napadli, jak on kazał generałom swoim pobić ich i wygnać, jak generałowie rozkazu tego spełnić nie zdołali, bo nie mieli ani dostatecznego rozumu w swych głowach, ani odpowiednio wyćwiczonego i karnego żołnierza w swych szeregach. Kto winien? Nikt inny, tylko on sam, cesarz chiński, Kuang-su, on winien, że się dał okłamać, że uwierzył w papierową rzeczywistość raportów. On sam też karę poniesie; nie przeżyje hańby zajęcia grobów rodzinnych przez wroga w Mugdenie i, jeżeli tę stolicę Mandżuryi japończycy opanują — w tej chwili się zabije. Boleścią przejmuje go myśl, że *zhańbił swoich przodków.* Gdy już jego na tej ziemi nie będzie, niechaj naród pamięta o jego matce i da jej przytułek i opiekę w Mongolii. Nowy książę, wybrany z rodziny cesarskiej, weźmie pomstę z japończyków i stanie się zadość *prawu świętych mężów.*

Ten dziwaczny dla umysłów naszych oblig na samobójstwo jest jakby wyrwany z ducha dziejów chińskich. „Święci mężowie," następcy pierwszego bohatera, praojca duchowo-politycznego, Fo-hi, byli prawodawcami, uczącymi, co złe, a co dobre, orężem zgarniali, rozumem trzymali w całości. Prawo „świętych mężów" — to nakaz niepodległości, potęgi i sławy. Cesarz chiński przed wiekami już miał nad sobą straż tego prawa, zorganizowaną w rodzaj cenzoratu, a w jej funkcyach przebłyskiwał nieraz stosunek spartańskich eforów do królów. Ta magistratura *kotao* dawała upomnienia, nagany, nauki — zawsze w imię tradycyi „świętych mężów" — i była też hamulcem dla postępu, była morowem powietrzem dla rozwoju społecznego i politycznego. Zniesławienie przodków jest także pojęciem rdzennie chińskiem — a po ludzku już pięknem. Tkwi ono głęboko w jedynej szczerej religii chińczyka — czci zmarłych i ściśle się wiąże z odrębnem, czysto-chińskiem pojęciem arystokracyi. Sława i wielkość dnia dzisiejszego rozpromienia się tam w obie strony: w przyszłość i w przeszłość. Szlachectwem swojem uszlachca się, nietylko potomków swoich, ale i przodków, i tak samo hańbą własną okrywa się jednych, jak drugich. Uczucie krzywdy, wyrządzonej przodkom wyrwało z piersi młodego cesarza całą tę pokutniczą spowiedź.

W każdym razie pycha już złamana; honor pozwala, a rozsądek nakazuje zawrzeć pokój, im prędzej, tem lepiej. Warunki jego, pomimo protekcyi europejskiej, nie będą łagodne: 400 milionów taelów kontrybucyi, przedstawiające ogromną sumę dwóch miliardów czterysta milionów franków; zajęcie Port-Arthuru i Wei-hai-wei, aż do zupełnego spłacenia; odstąpienie Formozy, zatrzymanie Korei na cały czas już rozpoczętej organizacyi. Odstąpieniu innych jeszcze terytoryów, prócz półdzikiego Tajwanu, oprze się dyplomacya europejska. Ostatecznie, na nic się nie zdadzą mitręgi i wykręty: trzeba będzie podpisać traktat, a podpisawszy, pomyśleć o przyszłości — i wymieść chińszczyznę. Wtedy cięgi, otrzymane od japończyków, będą więcej warte dla Chin, niż prawo, pozostawione przez „świętych mężów."

Z NIEMIEC.

Berlin 1 marca.

Zjazd handlowy.—Mowa cesarska.—Gazeta kolońska.

Zebrał się tutaj zjazd handlowy, (*Handelstag*) instytucya poważna, skupiająca interesy ludzi nietylko „dobrze urodzonych,“ ile „uposażanych.“ Złożył on swe rezolucye w formie protestu przeciwko postanowieniom kongresu: bimetalizmowi, rojeniom ludzi, którzy żyć pragną „kosztem dla innych,“ przeciwko wszelkim monopolom itd. Minister Boettlicher, który powitał zjazd w imieniu rządu, pierwszy uderzył w pragnienia agrarne i uznał wprawdzie (a któż tego nie uznaje!), że położenie rolnictwa jest ciężkie, ale nie wypływa z niego wcale, aby interesy tej tylko warstwy miały rząd zaprzątać. To była pierwsza odsłona rozczarowań agrarnych. A w sobotę zeszłą przemówił cesarz Wilhelm na bankiecie „brandenburczyków“—i wprost nazwał już „bezmyślnem rojeniem“ żądania od głowy państwa, aby ta broniła korzyści jednej klasy kosztem innych. Po przemówieniu cesarskiem sytuacya stała się zrozumiałą. W pierwszej chwili prasa agrarna jak gdyby zaczęła szukać drogi wyjścia, kompromisu z nakazem cesarskim, jakiejś ścieżyny sofistycznej, któraby pozwoliła przystosować odpowiedź monarszą do tych *mots sonores*, wypowiadanych przed kilku jeszcze dniami. Taką była odsłona druga tego upadku tragicznego. Punkt atoli kulminacyjny nastąpił dopiero wczoraj.

Oto *Gazeta kolońska* przyniosła artykuł, który uderzył z siłą piorunu w mozolnie budowany gmach rojeń. Odsłania on w całej nagości nędzę zakulisowego szantażu, jakiego dopuścić się mieli i mają agraryusze wobec Capriviego, dzisiaj—Hohenlohego: „Jesteśmy uprawnieni—mówi organ nadreński—do przypuszczenia, że taka sama kampania, w której poległ Caprivi, czeka obecnego kanclerza niemieckiego... Jestto hańba dla mieszczaństwa naszego, że poszło na lep frazesów agrarnych i zaprządz się dało od kilku już miesięcy do rydwanu tych, co w mętnej wodzie ustaw przewrotowych łowić zamierzają ryby i tylko dla siebie.“ Mieszczaństwo niemieckie nie zrozumiało, że przy kolebce tych ustaw nie stały bynajmniej jego interesy, zagrożone przez agitacye i tryumfy demostracyi, a tylko spór Capriviego i junkrów; ażeby padł Caprivi, nie wystarczało podburzyć konserwatystów, partyę względnie nieliczną; postanowiono więc wyzyskać ustawę wyjątkową. Na tę wędkę dało się schwytać mieszczaństwo. Z chwilą, kiedy narodowo-liberali zaczęli kruszyć kopie w obronie tych paragrafów, które wyjść dotychczas nie mogą z łona komisyi specyalnej — udało się agraryuszom (hr. Eulenburg!) przekonać cesarza, że hr. Caprivi nie posiada już nawet miru śród partyj mieszczańskich i że przyjaciół liczy tylko w centrum, u wolnomyślnych i demokratów. Gra udała się, jak wiadomo. „Hr. Caprivi — mówi powyżej cytowane pismo — był nazbyt miękim, aby mógł pokazać dłoń ze spiżu wszystkim tym, co knuli przeciwko niemu spisek po ministeryach. Czy potrafi to uczynić ks. Hohenlohe? Czy wystąpi odważnie i wyraźnie z mglistego obłoku niepewności, w który się owinął i powie jasno: *tak*, lub *nie*? Mowy już być nie może o przymierzu z agraryuszami.“ To była odsłona trzecia, po której końca dramatu domyślić się łatwo. Zdaje się bowiem, że są już nawet oznaki widoczne niezadowolenia cesarskiego nietylko z agraryuszów, ale nawet z tych urzędników, którzy reprezentują w parlamencie interesy ziemiaństwa. Wilhelm II na tym samym bankiecie, na którym zganił agitacyę agrarną, omijał prawie że umyślnie p. Köllera, ministra pruskiego, który przyznaje się wprost, że jest adwokatem junkrów. Zwróciło to uwagę prasy wszystkich odcieni, a w najnowszym numerze organu „Związku rolników“ (D. Tageszeitung) czytamy: „...Jakże trudno jest odzyskać z powrotem straconą wiarę! Każde słowo, które można tłomaczyć dowolnie, rzuca w serca nasienie niewiary, które prędzej wschodzi, aniżeli dobry posiew.“

Niedawno w sejmie pruskim ktoś z przedstawicieli ziemiaństwa wołał: *kein kanitz, keine kähne*... co z cynizmem zwiastowało, że tylko w razie przyjęcia projektu pana Kanitza, ziemiaństwo głosować będzie za kredytem na cele marynarki itd. *Volk* wydrukował wiadomość, jakoby i kanclerz, ks. Hohenlohe oświadczył się przeciwko projektowi Kanitza. Żadne z oficyalnych źródeł (prócz *Post*) nie zaprzeczyło tej wiadomości. Tak tedy skończyła się pierwsza część „tragicznej historyi o królewiczu nadolbiańskim Agrar'ze“ — tragikomedyą w ostatnich scenach, jak wszystkie historye klas upadających.

P. O. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz Wilhelm powrócił z Wiednia jako feldmarszałek armii austryackiej. Godność tę dostał po zmarłym arcyksięciu Albrechcie. Głoszono wiele o jego rozmowach wiedeńskich. *Norddeutsche Allg. Ztng* zapewnia, że cesarz mówił tylko o polityce zagranicznej, ku czemu posłużyły odwiedziny u hr. Kalnoky'ego. Nie mówiono wcale o „Umsturzu,“ nie potrzebowano też ukazywać w bliskiej przyszłości złagodzenia „Vorlagi.“

Monarcha niemiecki zaczyna już czuć, iż mu agraryzm gniecie piersi i na politykę swoją, po upadku Capriviego w ruch puszczoną, nakłada już hamulce. Po oświadczeniach życzliwych p. Hamersteina, ministra rolnictwa, wniosek Kanitza o zmonopolizowaniu handlu zbożem oczekiwać teraz może puszczenia go na wodę przez rząd centralny. P. Hohenlohe z upoważnienia cesarza głośno już wyraża wątpliwości swoje co do poparcia. P. Stolberg, nadprezydent wschodnio-pruski, za zobowiązanie się *bona fide* względem agraryuszów, dostał napomnienie, na które odpowiedział podaniem się do dymisyi. Lepsze trochę widoki ma wniosek Friedberga i Mirbacha o bimetalizm. Przychodzi mu poparcie z zewnątrz: nietylko z Francyi, ale i z Anglii. Dnia 27 lutego Izba gmin przyjęła w pierwszem czytaniu mocyę Everetta, aby rząd J. K. Mości uczestniczył w naradach międzynarodowych nad przywróceniem szlachectwa ekonomicznego srebra. Lord kanclerz skarbu, Harcourt, nie uchylając się od udziału, zapowiedział odrazu stanowisko odporne.

Wszystkie te sprawy polityki gospodarstwa materyalnego, w Prusiech przynajmniej, wejdą wkrótce na porządek dzienny pruskiej rady stanu, którą zwołano na d.

---

10)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Widok 13.

Niby olbrzymi szmaragd, spinający lesistą opończę na powierzchni ziemi, tkwiło w oprawie okrągłych gór ogromne jezioro, którego gładka szyba lśniła się tylomą blaskami, że niebo dniem patrzyło weń zdziwione, a nocą liczyło swoje światła, ażeby się upewnić, czy tu nie zgubiło najpiękniejszej swojej gwiazdy. Góry tak stłoczyły się zwarte naokoło tego zwierciadła, że nie można było między niemi dojrzeć żadnego przedziału, którym prześliznęłaby się droga. Ramy brzegów obiegły wodę kręgiem dość równym; w jednem tylko miejscu wygięła je długa, karłowata skała, która wysunęła się daleko i wskoczyła do jeziora, jak gdyby pragnęła w jego kryształowych falach wykąpać swe szare ciało. W jej ciemnym otworze, zasłoniętym kępą zwieszonych roślin, niby w wielkiem oku pod gęstą brwią, siedzieli Arjos i Orla, których świt dnia zaczął oblewać swym bladym brzaskiem. Pod spodem wejścia do groty kołysała się na wodzie mała tratewka.

Arjos

Prześcignięty wiatr leciał za mną i wył zziajany — tak szybko biegłem. Patrzyłem tylko ciągle w ognisty słup wulkanu, który mi prostował drogę. Nareszcie dostrzegłem chaty Podlotów. Pod samą wsią ukryłem się w krzakach, ażeby wybadać, czy do nich jakie złe plemię nie zawitało. Byli sami, zajęci struganiem swych posążków. Gdy czujnie się rozglądam, widzę przy wielkim kamieniu, który jest ich bogiem, starca nad czemś pochylonego. Przysunąłem się bardzo blizko — i odrazu poznałem nasz koszyk, a w nim siedzące dzieci, które on karmił.

Orla.

Ach, jaki dobry!

Arjos.

Odniósł je potem na murawę, wyjął, posadził i zawołał kobietę, która przy nich pozostała. Niewątpliwie był to kapłan. Chciałem koniecznie z nim pomówić, więc zbliżyłem się i pozdrowiłem go, prosząc, ażeby mi podarował bodaj kijek poświęcony, któryby mnie zbłąkanego w lesie doprowadził do mojej gromady. Wyjął z pod wielkiego kamienia patyczek i dał mi. Patrzyłem na dzieci, zdrowe, rumiane, wesołe, ale gdy chciałem jedno z nich wziąć na ręce, starzec powstrzymał mnie i zawołał: Nie dotykaj, to dzieci boskie, a ty może jesteś nieczystym człowiekiem... A czy nie należysz do ludzi Alruna? — Nie — odpowiedziałem. — To uciekaj stąd—rzekł— bo on krąży w okolicy i wszystkich morduje. — Podziękowałem mu i odszedłem. Zacząłem biedz do ciebie z dobrą nowiną, jak pszczoła z miodem. Śmiałem się do drzew, do gór, do nieba, myśląc, że cię ucieszę. Radość zdjęła ciężar z mojego ciała, a tęsnota dodawała siły. Nie odpoczywałem, raz tylko napiłem się wody, bo mi oddech usta przyżegał. No nie smuć się już, kiedy naszym dzieciom dobrze.

Orla.

Ale Alrun... który tam węszy.

Arjos.

On Podlotów pozostawi w spokoju, zresztą wcale nie wie, że dzieci zabrałaś z sobą i przypuszcza, że je uniosły dzikie zwierzęta.

Orla.

Oni je mają za dzieci boga...

Arjos.

Widać go w nich czują. I ja przypuszczam, że bóg je stworzył z ciał naszych. Przynajmniej w tobie ciągle go widzę.

Orla.

A ja w tobie.

12 marca. Wielka rada handlowa, zagajona przez Bötttichera, obraduje w ciszy. Wyjdą z niej uchwały dla rolników nieprzyjazne; nawzajem rada stanu, złożona przeważnie z agraryuszów, wyda uchwały niemiłe dla handlu: od tego jest życie, iżby w niem była walka. Ale i jedno i drugie postanowienia będą tylko prostemi życzeniami, niekrępującemi w niczem rządu, który mocniejsze więzy znajduje we własnej niepewności: co robić? Wogóle typem obecnej polityki niemieckiej jest ciągłe wyskakiwanie naprzód i cofanie się w tył. To zyskano na „nowym,“ po-capriviowskim, „kursie.“

W komisyi bezpieczeństwa społecznego lęgną się w dalszym ciągu projekty coraz ciekawsze. Karane być mają więzieniem do lat dwóch przestępstwa uwłaczania religii, monarchii, własności, rodzinie i małżeństwu. P. Rintelen d. 27 lutego wychłostał i naukę, i poezyę, i beletrystykę dzisiejszą.

Teraz już wątpliwości nie ulega, że rząd francuski wyśle swe okręty na uroczystość czerwcową otwarcia kanału, łączącego morze Niemieckie z Baltyckiem: w Berlinie otrzymano zawiadomienie urzędowe. Opinia we Francyi jeszcze tej pigułki nie połknęła — ale jej *Figaro* administruje odpowiednie środki. Po tak poważnej firmie poważnego też skutku spodziewać się można.

We Francyi występuje znowu sprawa niedostatecznych uzbrojeń. P. Cavaignac, półradykalista, wykazuje w Izbie, że armia francuska jest o 50,000 ludzi słabszą od niemieckiej. Jednocześnie w sejmie niemieckim ks. Hohenlohe i baron Marschall wykładają, że flota niemiecka staje godnie — tylko obok Argentyny i stoi dziś niżej, niż w r. 1885. Będą zatem nowe wyścigi — ku pożytkowi i uciesze opodatkowanych.

Na Kubie od kilku tygodni wre powstanie, zeskamotowane w pierwszej chwili przez telegraf urzędowy: dopiero w końcu przeszłego tygodnia padło pierwsze o niem słówko. Oczywiście, powstańcy pobici, gdzieniegdzie się poddają, a jednocześnie 6,500 żołnierzy odpływa z Europy. Rząd na wyspie jest haniebny. Żołnierze go nie naprawią.

Komisya europejska wraca już z Armenii — z uprzejmości dla sułtana. Gdy się nic zrobić nie chce, robi się takie komisye.

W Konstantynopolu w nocy z d. 2 na 3 marca zmarł były wice-król egipski, Ismael; w Wiedniu d. 1 marca hr. Ryszard Metternich—dyplomata od balów, plotek i miłostek.

BADANIA NAUKOWE.

Wł. M. Dębicki. *Wielkie bankructwo umysłowe.*

Autor jął się tezy bardzo ryzykownej, bo udowodnienia, że „zbankrutowała tedy i zwaryowała niezależna, harda, jak bicz dziadowski rozpuszczona myśl ludzka.“ Usiłuje więc wykazać, że pycha rozumu stanowi nieszczęście dla samej nauki, bo tę ostatnią prowadzi na rozdroża, na których zaczynamy powątpiewać, czy cokolwiek prócz naszej jaźni istnieje na świecie. Filozofia wolnomyślna, zdaniem autora, poczęła od przeoczenia i skończyła na zwątpieniu o wszystkiem; wziąwszy za podstawę jaźń i jej stany, po za tę sferę przekroczyć nie zdołała; myśl swobodna, wzgardziwszy dumnie zdrowym rozsądkiem, nawet główne swoje bożyszcze, tak zwany rozum krytyczny, uznała za przesąd i wątpliwą wiarę. Słowem dotknęła ją kara za pychę, bo wpadła ona w chorobę bezdennego przeczenia. „Tyle wieków, tyle pokoleń—powiada p. D.—walczyło o rzekomo najwyższe dobro, o swobodę myśli, tyle krwi dla tej swobody wylano, tyle umysłów pracowało, i po co? Żeby dojść do zwątpienia zwątpień, do solipsyzmu; żeby niemieć nawet tej pewności, czy istnieje ziemia, czy istnieją ludzie, czy biją bratnie serca! ażeby wiedzę wszelką poczytać za urojenie, za uczone i wyrafinowane okłamywanie siebie samego.“ Sceptycyzm ten i podmiotowy idealizm, prócz swojej jaźni nic na świecie nie przyznający, to owo wielkie bankructwo wiedzy. Autor więc podjął zadanie „pojmać mędrce w chytrości ich“ i wykazać, jakim sposobem wszelaka pycha umysłu z konieczności doprowadza do pogrążenia w otchłani przeczenia.

Przed nami przesuwa się orszak umysłów wątpiących. Kartezyusz, Pascal, biskup Berkeley. Po deistach później nastają wolne duchy: Hume, d'Alembert, Kant. Jeszcze potem zapanowywa nioład demokratyczny, wielkości mieszają się z nicościami, jakiś Schultze z Schopenhauerem, autor podrzędniejszej broszurki z właścicielem zasłużonego nazwiska, miernoty jak Flammarion lub Gibier z Huxley'em, Helmholtzem i Millem. P. Wł. Dębicki poddaje rozbiorowi ich doktryny, wsadza swoją rękę w otwarte rany umysłu ludzkiego, jeżeli są wązkiemi, rozszerza je sztucznie i z tryumfem wykrzykuje: oto do czego doprowadziły pycha i zarozumiałość! Wszyscy ci grzesznicy są zbrodniarzami, których nasz autor obwinia o solipsyzm, o to, że uczą, jako pióro, którem piszę obecnie recenzyę o jego książce, jest tylko urojeniem, że papier, na którym będzie ona wydrukowaną, to złudzenie... Ktoś z podziwem zagadnie: azali też Kant i Mill, Huxley i Dubois-Reymond należą do liczby proroków samo-jaźni? Bał to tylko dowód, że nie czytali rozprawy o bankructwie wiedzy i skutkiem tego błąkają się w ciemnościach. Rzecz to niezmiernie ciekawa, jakim sposobem tak różne przekonania i tak odmienne nazwiska w czambuł z sobą poplątano. Posłuchajmy chociażby operacyi, dzięki której filozof królewiecki znalazł się obok Berkeleya lub Pyrrhona. „Jeżeli zewnętrzne przymioty—rozumuje p. Wł. Dębicki—tego np. drzewa, jego barwa, kształt itd. są tylko mojemi pojęciowymi obrazami, to czemże więcej jest ukryta istota tego drzewa „sama w sobie,“ które mi się nie przedstawia nawet jako obraz, jako wyobrażenie? Kant, oskubawszy owe rzeczy same w sobie ze wszystkich przymiotów zewnętrznych, sprowadziwszy je wszystkie do naszych wewnętrznych wyobrażeń umysłowych, powinienby powiedzieć konsekwentnie, że to rzeczy są poprostu fikcyami, że się równają dla nas nicości zewnętrznej.“ Dlaczego zaś taki olbrzymi umysł, jak Kanta, zdołał popełnić podobną niekonsekwencyę? Poprostu dlatego, ponieważ był—profesorem! Gdyby wypowiedział się stanowczo, to może utraciłby miejsce... Argument to, kilkakrotnie używany w książce p. Wł. Dębickiego. Schopenhauera równie spotyka ten sam zarzut nielogicznego myślenia. „Skąd wziął tę wolę—woła nasz autor o filozofie pesymizmu—mającą stanowić treść świata zewnętrznego? dlaczego tej woli dał istnienie realne po za umysłem? Bo wstydził

Arjos.

To może on w nas obojgu przebywa i dlatego tak się kochamy. Orlu moja, gdy na ciebie patrzę, zdaje mi się, że coś uroczego w tobie siedzi i coś potężnego we mnie wstępuje. Duch jakiś nas nawiedza i spaja. Przy tobie, jak przy dniu, wszystko mi jest jasno, bez ciebie, jak w nocy, wszystko ciemne. Ach, boś tak piękna, że słońce co wieczór płacze rosą, gdy z nieba schodzi i widzieć cię przestaje. A gdy rano jego promień wpadnie do tej groty, ciebie pierwszą znajdzie i ucałuje. I chyba księżyc po to zwraca ku ziemi całą twarz swoją, że cię na niej dostrzegł.

Orla.

Arjosie, jam tych słów nie warta.

Arjos.

Nie warta? Czy ty sądzisz, że mi słowami wszystko wypływa, co w duszy mojej dla ciebie się zbiera? Wczoraj cień twój padł na gęstą krzewinę, w której nagle zaszeleściało. Domyśliłem się, że jakiś bóg chciał go ukraść, duszą ożywić i do nieba zanieść. Ale cień mu umknął, zsunął się na trawę — przyłożyłem do niego twarz — pachniał! Przysięgam ci, pachniał twojem ciałem, które chyba kwiaty codziennie swoimi kielichami okadzają. Mam cię ustawicznie w oczach, w nosie, w uszach, w każdej cząsteczce ciała, która kiedykolwiek dotknęła twojego. Żyć bez ciebie nie mogę, boś jesteś duszą moją. Opuść mnie, a natychmiast legnę martwy, jak kamień, który powoli w łzach się rozpuści. Wszystko dla ciebie zrobię, we wszystko się przedzierzgnę. Jeżeli będziesz potrzebowała osłony przed skwarem, a nie dadzą ci jej drzewa, z ramion wyrosną mi gałęzie, pokryte liśćmi; jeśli zapragniesz woni, a odmówią ci jej zioła, głowa moja zamieni się na koronę kwiatu; jeśli zażądasz światła, a poskąpi ci go dzień, oczy moje zapłoną blaskami słońc. Zdaje mi się, że jestem człowiekiem dlatego tylko, że ty tak chcesz.

Orla.

To niepodobna, Arjosie, ty nie mnie widzisz, w tobie bóg się ukrył, który twojemi ustami z jakąś niebianką rozmawia. Ja jestem zwyczajną kobietą z plemienia Orląt, z gromady Ukora i Alruna. Chłopcze mój miły, poproś ducha, który ci źrenice z oczu usunął i swoje wstawił, ażeby twoje zwrócił.

Arjos.

Dziecinna jesteś.

Orla.

Wcale nie. Proś go, błagaj, niech z ciebie wyjdzie. Bo jeśli długo łudzić cię będzie i potem nagle ustąpi, zobaczysz mnie własnemi oczami inną, brzydką, nędzną i porzucisz.

Arjos.

Ha, ha, ha!

Orla.

Nie śmiej się. Ty mnie dawniej taką nie widziałeś, ty tak pięknie do mnie nie mówiłeś.

Arjos.

Bo jeszcze w tobie tak się nie rozmiłowałem, bo nie wiedziałem, że ci taka mowa moja przyjemna będzie, bo nieraz zdawało mi się, że gdy cię wódz gromady spojrzeniem połechtał, to mu śmiechem odpowiadałaś.

Orla.

Zdawało ci się tak, chociaż przeciekałam wszystkim mężczyznom przez ręce, jak woda, chociaż garnęłam się do ciebie, jak rzeka do morza, chociaż zazdrościłam twoim paznokciom, że się z tobą nie rozłączają, chociaż uciekłam z gromady, gdy Ukor mnie zapragnął?.. Czegóż ty jeszcze więcej chciałeś?

Arjos.

To też gdy o tem wszystkiem przekonałem się, pobiegłem za tobą, kocham cię i tak mówię, że aż wątpisz, czy cię dobrze widzę. Ale przestańmy już zawodzić żale, jak para zięb, którym gniazdo zabrano. Naszych dzieci kot nie zjadł.

Orla.

Alrun się czai...

Arjos.

Znowu Alrun... Przecież ziemia jest szersza i dłuższa, niż on, całej nie pokryje sobą i nas nie znajdzie.

Orla.

Człowiek zły zawsze więcej miejsca zabiora, niż dobry. A ten potwór dopiero się teraz wyciąga.

się solipsyzmu! Ratując się atoli skokiem śmiertelnym, wykopał grób zarazem całej mozolnie utkanej robocie myślicielskiej. Któż dziś traktuje poważnie teoryę, która z jednej strony poczytuje świat tylko za wyobrażenie czy też raczej za funkcyę mózgową, a z drugiej dodaje do tego tylko całą nieskończoność objawów woli!" Mill również znalazł się pomiędzy grzesznikami, popełnił bowiem grzech, uważając materyę tylko za możliwość wrażeń, nic więcej. Biorąc asumpt z tego określenia materyi, p. Wł. Dębicki tak tłomaczy to odezwanie się myśliciela angielskiego: „Teorya Milla jest doktryną skrajną sceptyczną, którą w sposób popularny tak można rozwinąć: mam pewne wyobrażenia o ludziach, domach, zwierzętach itd., lecz co się kryje za temi wyobrażeniami, czy w rzeczy samej istnieją tacy ludzie, takie domy i zwierzęta, jakie sobie wyobrażam, czy nie są to tylko halucynacyjne wytwory mojej świadomości, pozostanie to dla mnie nazawsze nieprzeniknioną tajemnicą." Biedny Mill na takie wypaczenie myśli swojej załamałby ręce z rozpaczy.

Takim to trybem Kant, Schopenhauer i Mill, przyznający w całej pełni objektywną substancyę po za obrębem naszej jaźni — jeden w „rzeczy samej w sobie," drugi w „woli," trzeci w niezależnej od nas „możliwości wrażeń" i pod temi nazwami ukrywający owo niepoznawalne *X*, co stanowi istotę wszechświata, są przyrównani do paradoksisty Pyrrhona. Logika to — swego rodzaju! Przypomina mi ona dziewczynę, która zagadnięta, czy miała dziecko, odpowiedziała, że nie, gdyż było ono bardzo maluchne. Jej zachowanie się i tłomaczenie mogłyby być użyte za godło rozumowań autora *Bankructwa umysłowego*. Wogóle p. Wł. Dębicki zgoła nie jest osobą, zdolną do zręcznego i delikatnego operowania skalpelem analizy filozoficznej. Dłoń jego, to ciężka ręka kowala, który umie dobrze kuć młotem, ale za to, kiedy mu dadzą do naprawy delikatny zegarek, pokruszy go raczej w kawałki, niż poradzi sobie z jego subtelnym mechanizmem. Umysł, nawskroś prostolinijny, z tem, co nie pasuje, załatwia się węzłowato: skręca kark, tak, że acz połamane, wleźć musi w wyznaczone miejsce. Czyni to ze szczerego serca, nie podejrzewając sztywności swego organu myślenia.

Czy naprawdę wiedza prowadzi nieuchronnie do zwątpienia o wszystkiem? Zdaniem p. Wł. Dębickiego, jest to konieczność nieodzowna, a jeżeli nie wszyscy uczeni doszli do tego stanu, to tylko świadczy o ich płytkości umysłowej. „Ani Wolter i Diderot, ani Strauss i Renan ze swymi epigonami; ani wielu innych nie wyznawali nihilizmu poznania, wszyscy byli przekonani o zewnętrznej rzeczywistości świata, pośród którego żyjemy. Niewątpliwie. Lecz realizm poznania tych negatywistów był tylko płodem resztek zdrowego rozsądku. Od skrajnego sceptycyzmu uratowała ich nie jakaś wyższość umysłowa, lecz prosta niekonsekwencya, jaskrawe przeniewierstwo swoim własnym zasadom." Moglibyśmy zwrócić uwagę p. Wł. Dębickiego, że również dzieci są między solipsystami, a więc umysły, bynajmniej nie pogrążone w bezwzględnej pysze rozumu; ale na taki argument nasz autor odpowie insynuacyą, że Berkeley pobiera parę tysięcy funtów sterlingów pensyi i dlatego umiał trzymać język za zębami. Naturalnie, owa nieodzowna konieczność stoczenia się wiedzy w przepaść rozpasanego zwątpienia o wszystkiem, istnieje tylko w umyśle szanownego krytyka. To jego urojenie, którego mu nie wytłomaczymy! Filozofia naukowa nie zna tej niezbędności. Przypatrzmy się istotnie temu, na czem polega osnowa najbardziej zasadnicza naszych pojęć o świecie. O tem, co nas otacza, dowiadujemy się z naszych wrażeń, przez zmysły. Pośrednik ten odcisnął swoje piętno. Barwa, to wytwór naszej jaźni, we wszechświecie odpowiadają jej tylko różne drgania. Ton istnieje również tylko subjektywnie, uczucie ciepła, względnie zimna, nie jest czemś innem, tylko odpowiedzią naszego organizmu na szczególnego rodzaju podniety. Możemy śmiało nasze otoczenie zewnętrzne pozbawić kolorów i dźwięków, temperatury i zapachów, bo wszystkie te właściwości są wkładem ze strony naszych zmysłów. Analiza idzie jeszcze dalej i w świecie zewnętrznym wykazuje coraz więcej pierwiastków subjektywnych. Fizyka tegoczesna twierdzi z całą stanowczością, że nawet materya jest pojęciem, które przeżyło już swój czas i musi rozpłynąć się w trzech bardziej zasadniczych kategoryach: czasie, przestrzeni i energii. Niepodobna nam tu iść krok w krok za tą analizą; wspomnimy tylko, że świat, to suma naszych wyobrażeń. Najwspanialsze to uogólnienie w filozofii naukowej. Ale czyż stąd wypływa, że ponieważ barwa i dźwięk są wkładami mego organizmu, a materya i siła są tylko uogólnieniami mego umysłu, więc powinienem uważać świat zewnętrzny za nieistniejący, jak to podsuwa mi p. Wł. Dębicki? Bynajmniej nie! Wiem, że świat zewnętrzny jest mojem wyobrażeniem, ale również na każdym kroku swego życia czuję, że wrażenia, z których wysnułem wyobrażenia, przypływają do mej jaźni na przekór woli, kruszą ją i krępują bez ustanku i kojarzą się ze sobą nie tak, jak chciałbym, ale według pobudek, nieznanych co do swojej istoty. Świat jest wyobrażeniem, ale nie subjektywną wyobraźnią, bo niezależnie od mojej jaźni istnieje coś, co nie dba o mnie, co mnie do siebie przystosowywa i narzuca mi materyał do moich wyobrażeń. Mój świat pojęć i wrażeń, to perła, która zrodziła się z mojej jaźni, ale spowodowana przez wtargnięcie czynników ze świata zewnętrznego. Nie wiem, czem jest to otaczające mię istnienie co do swojej natury, ale fakt to, że jest możliwością wrażeń w każdej chwili. Kant najmniej zadał sobie kłopotu i postąpił najpraktyczniej, bo nazwał ją rzeczą samą w sobie. Inni powyszukiwali cudaczniejsze terminy, Schopenhauer dał jej miano woli, Avenarius — czucia, ja ochrzciłbym ją „wielkiem Niepoznawalnem." Rozwój umysłowy każe dzisiaj odrzucić „siły" jako mój wkład subjektywny, ale za to z tem większym naciskiem podkreśla następczość wrażeń, która nie odemnie zależy i którą badać jest obowiązkiem nauki. Wolno komuś szemrać przeciwko wązkiemu zakresowi nauki i przeciw jej powolnemu postępowi, ale nie godzi jej się posądzać o to, jakoby prowadziła do zaprzeczania istnienia świata zewnętrznego. Uczynić to tylko mogą paradoksiści w rodzaju Pyrrhona, albo inkwizytorzy, jak p. Wł. Dębicki, który przypisuje jej to, czego nie posiada. Duch krytyczny jest podstawą nauki, w żadnym jednak razie nie jest on bezwzględną negacyą, która zatruwa wszystko i świat uważa za jedno z nicością.

Autor dodał do swojej książki studyum, poświęcone dzisiejszemu szerzeniu się filozofii mistyczno-spirytystycznej. Kilkakrotnie mówiliśmy już o tym przedmiocie, a więc pomijamy milczeniem tę rozpraw-

---

Arjos.

I pęknie z wściekłości, a nas nie dosięgnie. Nie mów o nim i połóż śliczną twarz twoją na moich ustach.

Całował ją długo i namiętnie.

Niech teraz staną przeciw mnie bogowie, zobaczysz, czy się ich ulęknę. Oni nie całują takich, jak ty, kobiet, więc nie mogą mieć takiej, jak ja, siły.

Orla.

Powiedz mi, Arjosie, czy w drugim świecie wodzowie zachowują po śmierci tę samą władzę nad innymi, którą posiadali na ziemi, czy wszyscy ludzie są tam równi?

Arjos.

Dlaczego o to pytasz?

Orla.

Z ciekawości...

Arjos.

Rozmaicie ludzie mówią. Jedni zapewniają, że tam na zielonej łące wszyscy sobie leżą w zgodzie syci i szczęśliwi; drudzy — że już z ziemi dusze wodzów przechodzą do nieba szerokim otworem, a zwyczajnych ludzi — wązką szczeliną, ażeby się nie pomieszały i w osobnych osiadły krainach; inni znowu, że cierpiący tutaj są tam szczególnie wywyższeni. Ale mnie się zdaje, że to wszystko są bajki.

Orla.

A przecież podobno niektórzy umarli wracali z tamtego świata — to mogli dokładnie opowiedzieć...

Arjos.

I to bajka, którą z wieloma innemi wymyślili kapłani. Te łotry...

Orla.

Arjosie, jak ty ich nazywasz!

Arjos.

Te łotry okłamują ludzi najrozmaitszemi bredniami, ażeby z ich ślepej wiary ciągnąć dla siebie korzyści. Woda, która pokazuje w swojej głębi drzewa, niebo i gwiazdy, a ma na dnie tylko meby, muł i kamienie, tak nie łże, jak oni. Widzą mnóstwo duchów i bogów, których nikt nie widzi, sprowadzają deszcz, który nie pada, robią czary, które nie skutkują i wróżby, które się nie sprawdzają. A przyłapani zawsze umieją się wykręcić. Jeżeli bogowie są, to z pewnością nie tak liczni, jak oni twierdzą, a w każdym razie nie posługują się takimi oszustami.

Orla.

Może ty prawdy się domyślasz, ale nie złorzecz bogom i kapłanom, ażeby się nie pomścili. My i tak biedni, prześladowani... Wiem, śmieszny mój mały rozum, który chce zatkać usta twojemu dużemu. Ale nie gniewaj się, bo strach stoi mi ciągle na oczach, a gdy je zamknę, włazi mi w czaszkę. Drżę bezustannie, jak trzcina w potoku, nie o siebie, ale o nas. Gdybyśmy oboje razem zginęli, uśmiechnęłabym się do śmierci. Ale mogą nas rozodrzeć lub jedno zmusić do życia w męczarni i rozpaczy bez drugiego. Nie kochaj mnie tak bardzo, Arjosie, wtedy trochę lżej mi będzie myśleć o tem, że mógłbyś mnie stracić.

Arjos.

Ani serca, ani ciebie nie stracę, bo zaraz sam umrę.

Orla.

A w drugim świecie? Ostatecznie nie wiesz, jak tam jest.

Arjos.

Co ciebie, moja gwiazdko, ten drugi świat tak niepokoi.

Orla.

Jeżeli w nim wodzowie zachowują swoją władzę, to mnie Ukor lub Alrun zabiorą.

Arjos.

Przecież się tam chyba nie znajdziemy bez rąk, bez nóg, bez zębów, bez sił, przecież ja nie będę miał tylko łuków z brwi, a oni z drzewa. Ha, będziemy walczyli, a ponieważ dusza duszy nie zabije, więc nie przestaniemy walczyć nigdy.

Orla.

Wolałabym, ażeby każdemu pozostawiono swobodę łączenia się, z kim zechce. Mam jednak inne przeczucie...

Arjos.

Jakie, Orlu droga?

(D. c. n.)

kę. Powiemy tylko, że p. Wł. Dębicki rozdął muchę do rozmiarów słonia. Z drobnego prądu, będącego przedewszystkiem przystosowaniem się dawnych uczuć mistycznych do wyników wiedzy nowoczesnej, zrobił on przeciwnika, rzucającego wyzwanie całej nauce!

K. R. Żywicki.

Handwörterbuch der Staatswissenschaften, wyd. przez J. Conrada, W. Lexisa, L. Elstera i Edg. Loening. Tomów 6. Jena, 1890—1894.

Pod tym tytułem ukończono największą z istniejących dotychczas encyklopedyj ekonomicznych. Jest to istotnie dzieło olbrzymie, gdyż każdy tom obejmuje najmniej tysiąc stronic wielkiej ósemki i tylko dzięki współdziałaniu całego sztabu niemieckich i zagranicznych uczonych w tak krótkim czasie wydanem być mogło. Spis nazwisk współpracowników, umieszczony na końcu ostatniego tomu, wykazuje wraz z redaktorami 250 tych, którzy współdziałali w powstaniu dzieła. Aby pozostało ono aktualnem i po latach kilku, redaktorowie, którzy są jednocześnie wydawcami roczników ekonomii i statystyki, obiecują prowadzić to ostatnie w taki sposób, iżby stanowiły dopełnienie słownika materyałem bieżącym.

Uczonym zagranicznym przypadło w udziale opracowanie niektórych kwestyj polityki społecznej, o ile dotyczyły one ich krajów, dawali również życiorysy znakomitych swych współziomków. Cały ciężar pracy spadł przecież na uczonych, rozsianych po uniwersytetach i biurach statystycznych Niemiec i Austryi. Spotykamy tu więc wszystkich prawie wybitniejszych ekonomistów współczesnych, pracujących w zakresie ekonomii politycznej. Z uczonych naszych jest tylko jedno nazwisko zmarłego niedawno w Krakowie L. Darguna, który w krótkim artykule o altruizmie przedstawił zastosowanie jego pojęcia w różnych systemach ekonomicznych.

Słownik jest wyrazem współczesnej nauki, sposobu jej pojmowania, metody i stanu teoryi. Ostatniej poświęcono względnie mało miejsca (zeszła ona prawie na plan drugi w nauce), za to lwią część otrzymał rozwój historyczny każdego pojęcia i każdego faktu ekonomicznego, oraz współczesne zagadnienia polityki gospodarczej, jak np. kwestya prawodawstwa robotniczego, banków, dróg żelaznych, włościańska itp. Życiorysy dają tylko bibliograficzne wskazówki i krótki zarys kolei życia znakomitych ekonomistów dawniejszych i współczesnych. W niektórych tylko streszczono system autora, o ile nie wchodzi on w historyczno-teoretyczne przedstawienie zagadnień, poruszonych w encyklopedyi. Spotykamy to np. w życiorysie Rodbertusa, opracowanym przez Diehla, profesora z Halli. Metoda przedstawiania faktów i teoryj jest możliwie ścisłą. Polega ona na zobrazowaniu rozwoju historycznego, wyłożeniu panującej teoryi, wyświetleniu wszelkich stron kwestyi, oraz na poparciu jej faktami, zaczerpniętymi istotnie z życia gospodarczego. W teoryi przeważa dążność szkoły t. zw. ścisłej, bo też główne zagadnienia, jak wartość, cena, kapitał, opracowali jej przedstawiciele, zamieszkali w Wiedniu (Karol Menger, Böhm-Bawerk, Zuckerkandel i in.).

Bardzo szeroko uwzględniono i wybornie opracowano statystykę, jej teoryę, stan badań statystycznych w rozmaitych krajach, urzędy statystyczne i ich działalność, nie mówiąc już o bardzo znacznym i wyczerpującym prawie materyale cyfrowym, jaki dodano do wszystkich niemal kwestyj ekonomii opisowej. Naturalnie, nazywając wyczerpującym, mamy tu na myśli zebrany w dotychczasowych spisach i ankietach materyał statystyczny i z nim porównywamy rezultaty. Wszystkie zagadnienia gospodarcze uwzględnia równomiernie, ale jak się tego zresztą spodziewać należało, stosunki niemieckie zabrały znacznie więcej miejsca, niż wszystkie inne. Dla niemiec-ców jest to bez wątpienia bardzo niepożądane, jak również i to, że o Królestwie, jako odrębnej całości, nigdzie nie ma wzmianki. W części jednak jest to nasza wina; trzymamy się wogóle zdala od naukowego ruchu zagranicy, dlatego też on nas pomija. Do tego muzeum ekonomistów i stosunków ekonomicznych należało wysłać choćby biografie paru wybitniejszych uczonych, jak Skarbka i Supińskiego. Pisali oni tylko po polsku, a wskutek tego zagranica o nich nie wie. Biografia Michała Wołowskiego zajmuje wcale pokaźne miejsce, bo też i spis prac jego, umieszczonych w osobnych dziełach i czasopismach, długi przedstawia szereg. Jest to jedyny polski uczony, o którym słownik wspomina; pominięto bowiem nawet Kopernika, który za swój traktat o monecie (*De monetae cudendae rationae*) zaliczony być powinien do ekonomistów.

Ogromną w encyklopedyi usługę oddaje doskonała i prawie kompletna bibliografia każdej kwestyi, w której zacytowano nietylko dzieła i prace większe, ale i wartościowe, choć drobne artykuły. To też dla ludzi, oddanych nauce ekonomii, jest to wyborny przewodnik, niezbędny niemal do oryentowania się przy pracy.

Dr. Z. D.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Hajota, *Ich syn*, powieść współczesna (II tomy). Warszawa, T. Paprocki, 1895.

Czy kobieta młoda, którą losy na długie lata rozdzielają z mężem, popełnia zbrodnię, jeżeli spotkawszy niepospolitego człowieka, ulega jego wpływowi, oddaje mu się duszą i ciałem? Czy istotnie wraca na drogę cnoty małżeńskiej, kończy rachunki z przeszłością, jeżeli pod wpływem przymusowo narzuconych sumieniu obowiązków idzie do zapomnianego, który jest jej zupełnie obcym? Czciciele nietykalności i nierozerwalności węzłów, stułą nawiązanych, mogą odpowiedzieć: tak! Nieco zawilsza będzie odpowiedź dla tego, kto zechce zajrzeć do głębin dusz ludzkich, sięgnąć po za ramki nakazanej etyki moralności. Takie pytania nasuwają się po przeczytaniu powieści Hajoty.

Wacław Dalenieçki, wykolejony burzą życiową, porzuca kraj, rodzinę i szuka chleba za oceanem. Po pewnym czasie wraca do Europy, ażeby spotkawszy się w Havrze z żoną i dziećmi, zabrać je do Ameryki. Staje atoli na przeszkodzie bezgraniczny, nieprzezwyciężony strach młodej, nerwowej kobiety na widok morza. Dzielą się więc tylko dziećmi: on zabiera synka, ona córeczkę i znowu odgradza ich przestrzeń wielka lat kilkanaście. Przez ten czas córeczka umiera, Klotylda Daleniecka spotyka de Soligny-Kierczyńskiego i przyrasta doń całem swem jestestwem. Syn, Tadeusz, już 22-letni młodzieniec, wraca do kraju. Z podsłuchanej rozmowy cynicznej dwóch lowelasów na balu dowiaduje się wszystkiego, załatwia stronę, dotyczącą opinii publicznej, pojedynkiem, Kierczyńskiemu każe opuścić Warszawę, a matce jechać do ojca. Złamana strasznem wstrząśnieniem moralnem, spełnia w końcu wolę syna i jedzie za ocean, na nowo poznawać swego męża, osiwiałego i zestarzałego w pracy, dzielić z nim życie, nosić boleść w sercu i pustkę w duszy. Stało się zadość świętości obowiązków rodzinnych!..

Zostawmy tę ideę na uboczu a przyjrzyjmy się szczegółom i osobom. Przedewszystkiem — kto był de Soligny-Kierczyński, który zdołał tak opłątać i przykuć do siebie matkę dwojga dzieci? Jest to jedna z ulubionych postaci demonicznych autorki, imponujących niezwykłą siłą duchową, inteligencyą, namiętnością, różniących się na każdym kroku od szablonowych figurek. Nieco pokrewne w swej wyrazistości widzieliśmy już nieraz, np. w powieściach *Błędne koło*, *Jak cień* i w kilku innych. Wszystkie te jednak typy podobne są tylko skupieniem indywidualności, wszelkich silnych cech charakterów niepospolitych, które w rzeczywistości rzadko kiedy tak obficie i wyraźnie ześrodkowują się w jednej duszy. Postacie te wszakże w utworach Hajoty, biorąc z osobna, są wszystkie oryginalne i bynajmniej nie powtarzają się. To zaś nadzwyczajne bogactwo ich cech pociągająco-odpychających, robi wrażenie, jak gdyby na jednę osobę złożyło się kilka, tem niemniej wszakże cechy te są prawdziwe i nadają bohaterom powieści dużo życia i wyrazistości. Do takich właśnie należy i de Soligny-Kierczyński. Był on amatorem-poetą, estetykiem, malarzem. Odtwarzał w obrazach sceny salonowe i te w nich „damy marzące, wąchające kwiaty, uśmiechające się za wachlarzem, flirtujące dyskretnie, te istoty uprzywilejowane, które wiedzą o nędzy tylko to, że jest brzydką i że na jej intencyę trzeba obmyśleć piękne kostyumy na ratuszowe bale, a o pracy, że istnieje po to, aby one przez całe życie mogły nic nie robić, tylko marzyć, wąchać kwiaty, uśmiechać się i flirtować." W odtwarzaniu tych istot Kierczyński był mistrzem, a jego obrazy rozchwytywane. Jednocześnie pożądano jego prac literackich. Gdy przychodził do jakiej redakcyi, stawał się postrachem dla mizernych stałych współpracowników, którym nieodmiennie w takich razach obcinano honoraryum przez parę miesięcy po groszu od wiersza, dla pokrycia kasowego wybryku na rzecz wybrańca. Kazał on sobie dobrze płacić za płody pióra i pędzla. Nie dbał o popularność, uważał ją za coś trywialnego. Lekceważył kobiety i tem je zdobywał, ale jako natura nawskróś niezależna, żadnych pęt nie znosił i wolał kochankę, niż żonę, bo pierwsza — to tylko chwila obecna, a druga — to także i przyszłość.

Taki człowiek, przy swoich zaletach duchowych goniący za rozkoszą, zawładnął Klotyldą, która, pomimo zbliżającej się czterdziestki, zachowała świeżość i krasę — znicz, niezbędny dla podsycenia uczuć swego kochanka. W największem nieszczęściu nawet nie zapomniała starannie się ubrać i rączek wyperfumować. Ten jeden szczegół charakteryzuje wybornie ową kobietę. I oto przyjeżdża syn, dorosły, jej żywa metryka, i burzy cały gmach szczęścia, wysłany kwiatami, każe jechać do męża, którego sama fotografia grozą i pognębieniem ją napełnia: „Tadziu, schowaj to — mówi do syna — ja nie mogę patrzeć na te siwe, rzadkie włosy, na twarz tak chudą i zmizerowaną." To też na podane przez kochanka warunki: rozstać się na zawsze lub jechać z nim do Paryża, przyjmuje po namyśle ostatni,—za późno, gdyż bilecik, zawiadamiający o decyzyi, dostał się w inne ręce, a de Soligny-Kierczyński wybrał sobie towarzyszkę chwilową, pannę przekwitającą, ale piękną, Wacławę, która go oddawna kochała do szaleństwa i pogardziła opinią świata. Jest to natura szalenie namiętna, usposobieniem i zapatrywaniem różniąca się od przeciętnej panny na wydaniu. Odtrąciła wszystkich swoich konkurentów, trzymając w zapasie jednego poczciwca, który przez długie lata nietylko cierpliwie znosi konkury innych, ale jeszcze spełnia polecenia matki w wyszukiwaniu nowych kandydatów.

„Przy nim jednym—mówi Wacława—mogłoby mi być dobrze, ale na to trzeba, żeby wszystko, co w piersiach wre i kipi, przepaliło się, aby skrzydła, co się szarpią do lotu, opadły, aby ta czara upojeń i szałów, której pożądają gorączką spalone usta, do dna wychyloną została." W galeryi typów kobiecych' pewną rolę jeszcze odgrywa siostra stryjeczna Wacławy, Ewunia, chociaż sama przez się nic ona wybitnego nie przedstawia. Jest przedmiotem serca młodego Dalenieckiego, sprężyną w akcyi powieściowej; córką człowieka, który niegdyś w sferach prawnych zajmował wybitne miejsce. Okoliczności zmusiły go do zmiany nazwiska i do pokątnego doradztwa. Ten „męt społeczny" na dnie duszy ma pierwiastki szlachetne, które zmywają jego brudne czyny przez samobójstwo dla dobra córki. Tadeusz, jakkolwiek porusza całą akcyę, jednakże nie jest naturą złożoną, skarbnicą psychologiczną. Młodzieniec zacny, pełen zapału, pięknych marzeń, stanowczości, wychowany w Ameryce, ale według modły rodzimej, tradycyjnej, surowo sądzi błędy matki, w końcu jednak przebacza jej.

Hajota, obdarzona niepospolitym darem spostrzegawczym, wybornie zna życie świata towarzyskiego z najdrobniejszemi jego subtelnościami. Umie pochwycić najmniejsze drgnienia duszy natur wyrafinowanych, z pod grubej maski obłudy i konwencyonalizmu wydobyć całą prawdę i rozebrać ją na oddzielne cząstki. Umie także odtwarzać i tych, którzy w przedpokojach tego świata się kręcą. Kilka rysów od niechcenia rzuconych, przedstawia wybornie postać sługusa, albo w paru prostych rozmyślaniach starej niańki, jadącej ze swą panią za ocean, odbija się cała jej dusza, jak w najlepszem zwierciadle. Oto próbka: „Już ona nigdy w strony rodzinne nie wróci—rozmyśla Bibisia na okręcie—stare jej kości nie spoczną na wiedrzowskim cmentarzu, takim ślicznym, latem lipami pachnącym i płaczącemi brzozami wysrebrzonym, gdzie leżą i właśni jej rodzice, i starzy państwo, u których hożą dziewczyną we dworze służyła. Boże! Już sobie takie ładne pieniądze na pogrzeb złożyła, już upatrzyła takie ładne, zaciszne miejsce, niby na uboczu, a przecież dosyć na widoku, żeby każdy, co przechodzić będzie, wieczny odpoczynek za nią mówił; ile było potrzeba, proboszczowi na grunt oddała i już była spokojną!... Wszelako ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, że rzucając to wszystko, czyni jakieś poświęcenie z siebie. Wydało jej się rzeczą tak prostą i naturalną, że by szła za swoją paniutuchną wszędzie."

W bardzo żywej akcyi powieści nie ma efektów wytartych. Zdarzenia wypływają jedno z drugich całkiem naturalnie; nawet podczas największego napięcia dramatycznego, silnych wstrząśnień moralnych, wylew uczuć wraz z ich podkładem, nie sięga tych granic, gdzie się zaczyna egzaltacya. Nie zupełnie tylko zgodne z prawdą zdaje mi się zbyt trzeźwe rozumowanie Ewuni o charakterze ucuć we wstrząsającej chwili wyboru między Tadeuszem a ojcem i dlatego niema tutaj zwykłej u autorki ekspresyi psychologicznej. Dorzucić jeszcze muszę w końcu, że obok wnętrza dusz ludzkich, ich burz i wstrząśnień, Hajota umie odtwarzać pięknie obrazy zewnętrzne i harmonizować je lub splatać z nastrojem duchowym swych bohaterów.

Zn. Pł.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Drugi konkurs międzynarodowy imienia Antoniego Rubinsteina odbędzie się w Berlinie pomiędzy d. 1 a 17 września r. b. Program: A) Dla kompozytorów. Przedstawić następujące utwory: „Concertstück" na fortepian z orkiestrą. (Dwa egzemplarze partytury, transkrypcya akompaniamentu orkiestrowego na drugi fortepian (1 egz.). Partye orkiestrowe, w tej liczbie trzy pierwsze i trzy drugie skrzypce, dwie altówki, dwie wiolonczele, dwa kontrabasy). 2) „Sonata" na fortepian lub z towarzyszeniem jednego albo kilku instrumentów smyczkowych. (Dwa egzemplarze utworu, w ostatnim wypadku oddzielne partye instrumentów smyczkowych). 3) Kilka drobnych utworów na fortepian. Dwa egzemplarze każdego utworu. Na konkurs będą dopuszczone te tylko utwory, w których autor sam wykona partyę fortepianową i które przedtem nie były nigdzie drukowane i wydane. B) Dla pianistów: Wykonanie następujących utworów: 1) A. Rubinsteina: Jeden z jego koncertów z towarzyszeniem orkiestry. 2) J. S. Bach. Preludium i Fuga czterogłosowa. 3) Hayden albo Mozart. Andante albo Adagio. 4) Beethoven. Jedna z sonat op. 78, 84, 90, 101, 106, 109, 119, 111. 5) Chopin. Mazurek, Nokturn, Ballada. 6) Szuman. Jeden albo dwa numery z „Fantasiestücke" albo z Kreislerjana." 7) Liszt. Jedna etiuda. Osoby, pragnące wziąć udział w konkursie, winny zgłosić się piśmiennie do dyrektora konserwatoryum petersburskiego (ul. Teatralna 3), do dnia 22-go sierpnia r. b.

— Udzielono koncesyę na nową gazetę codzienną polityczno-literacką pt. *Warszawskij listok.*

— Konkurs dramatyczny, ogłoszony przez wydział galicyjski, rozstrzygnięto. Pierwszą nagrodę przyznano jednomyślnie Michałowi Wołowskiemu za trzyaktową komedyę pt. „Towarzysz pancerny." Drugą otrzymał student Wacław Sawiczewski z Krakowa za dramat pt. „Na bezdrożach." Polecono do grania następujące utwory, odznaczające się zaletami scenicznemi: sztukę Henryka Piątkowskiego z Warszawy pt. „Nowi ludzie" pięcioaktowy dramat Wandy Dalewskiej z Warszawy pt. „Las"; oraz dramat Bronisława Grabowskiego p. t. „Jadwiga Tarłówna" i fantazyę Jana Szarskiego (pseudonim) pt. „Uśpiona."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

(Dokończenie).

W r. 1888 chłopiec, stojący na najniższym szczeblu drabiny szkolnej, zwanej uczelnią elementarną, napróżno wspinał się, wyciągał ręce, aby uchwycić się najwyższego — uniwersytetu. Próżnię tę wypełniła rada hrabstwa, wprowadzając 500 stypendyów niższych, udzielanych w przeciągu 2 lat po ukończeniu szkoły elementarnej. Prócz tego zapewniono inne zapomogi i ułatwienie nauki dla niezamożnych. Szkoły techniczne otrzymały zasiłki, a w nich czujne oko rodziców baczy, aby nie pozwolić na zmarnowanie żadnego talentu, o ile są środki po temu.

Inny krok zrobiła rada londyńska, wprowadzając pewną normę płacy zarobkowej dla swego personelu. Znany badacz stosunków robotniczych w Anglii, Karol Booth, określił 21 szylingów zarobku tygodniowo, jako granicę nędzy; rada londyńska nie chciała pozostać przy przepaści i cofnęła się w sferę zaspokajania potrzeb, przyjmując minimalną płacę tygodniową w wysokości 24 szylingów przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. P. Sidney Webb (Fabian) skłonił radę do tego, aby przynajmniej niektóre roboty wykonywała sama, bez pośrednictwa przedsiębiorcy. Większość prób udała się; niemniej sądzimy, iż p. Webb napotka wiele zawodów, wskutek niesumienności pewnych związków zawodowych *). W każdym razie polityka jego przyspieszy municypalizacyę w zaspokajaniu pilnych potrzeb ludności, a mianowicie wody, gazu, środków komunikacyjnych oraz targów.

Wszystko to dokonała rada hrabstwa w przeciągu sześciu zaledwie lat, skrępowana prawami wyjątkowemi. Co najważniejsza, większość rady, dawniej rozbita i nieforemna, złożona z mnóstwa odcieni liberalizmu angielskiego, przedzierzgnęła się przy pracy praktycznej w jednolitą całość, w stronnictwo reformy i postępu, głosując zawsze zbitą masą i mając w swem łonie zaledwie kilka umysłów sekciarskich i tem samem politycznie chwiejnych. Nie ulega wątpliwości, że to przeobrażenie moralne nastąpiło wskutek nacisku okoliczności zewnętrznych. Naga prawda rzeczywistości światłem swem wyrugowała błędne ogniki zasklepionych i upartych uprzedzeń teoretycznych. Niemniej trzeba przyznać, że w tej przemianie liberalizmu londyńskiego znać rękę sumiennego pracownika, p. Sidney Webb'a, który jest rzadkim w obozie radykalizmu typem rozsądnego i pozytywnego polityka *).

Wszystkie te reformy wymagają nakładu. Chcieć ukoić nędzę, usunąć niezadowolenie, zaoszczędzić narodowi talenty, które giną marnie, wyrywać śmierci i zarazie tysiące ofiar, chcieć w ten sposób reformować, trzeba mieć środki. Londyńska rada hrabstwa podwyższyła podatki gminne o 6—7 kopiejek na każde 10 rubli opłat podatkowych. I oto poruszyła się cała ludność stolicy, protestując przeciw tej „konfiskacie" organów państwowych. Mniejsza o konfiskatę talentów przez nędzę, ludności — przez zarazy itd.; ale za nic nie można pozwolić państwu i organom samorządu podwyższyć podatki w tym samym czasie, gdy właśnie współżycie ludzkie bez przyczynienia się jednostek powiększa wszystkie wartości, pomnaża możność zarobkowania itd. Każdy mieszkaniec Londynu korzysta obecnie z przywilejów, jakie mu daje wzrost miasta, ale wszak on może korzystać z nich, nie spychając innych do umierania na „wyspie psów"! I oto widzimy, jak pod maską „tanich rządów" wymaga się od społeczeństwa największych ofiar. Na nieszczęście dla rady londyńskiej ludność robotnicza jest złym i niewdzięcznym wyborcą; to też porażka pierwszej, jak mi niektórzy radcy mówili, jest możliwą **). Wobec atoli faktu, że w tej organizacyi postępowcy mają olbrzymią większość, porażka będzie raczej moralną, niż faktyczną, a postępowa rada będzie mogła przez trzy następne lata pracować nad reformą politycznej świadomości mieszkańców stolicy.

Z chwilą zaś, gdy tylko skład postępowy w radzie utrzyma się, będzie on mógł przedewszystkiem wykupić wodociągi, gaz, wehikuły przewozowe itd., które dadzą mu dochód z przedsiębiorstw. Dzisiejsza Izba Gmin poprze wszystkie te usiłowania. Wreszcie rada hrabstwa wniosła już projekt zmiany systemu opodatkowania własności nieruchomej. Idzie o obarczenie poborem tak zwanego „niezarobionego wzrostu," tj. wartości podwyższonej wskutek rozwoju miasta. Oto kilka cyfr, które wykażą doniosłość tej prawdziwej renty w Londynie:

Rok	Wzrost w funtach sterling.	renty z now. budynk.	Niezarobiony wzrost renty
1871	1,960,377	501,817	1,458,560
1876	2,028,283	501,317	1,526,466
ogółem od 1871—91	17,693,014	10,538,160	7,154,844

a zatem wzrost wartości w przeciągu lat dwudziestu wynosi przeszło miliard rubli

Zaznaczyliśmy wyżej, że sprawa londyńskiej rady hrabstwa ma bardziej ogólne znaczenie. W samej rzeczy; uprzytomnijmy sobie rozwój zarządów miejskich. Gdy grody powstają, walczą one o swe prawa

*) Pomówimy o tem w przyszłości i zaznaczymy nowe kierunki wśród tradeunionizmu angielskiego.

*) Szczegóły reform miejskich czytelnik może znaleźć w „London program" Webba, który jest bardzo wybitnym ekonomistą nowej szkoły.

**) Londyńska rada liczy 118 wybranych przedstawicieli, którzy nadto uzupełniają swój skład przez dobranie 19 aldermanów. W dzisiejszej radzie postępowcy stanowią prawie trzy czwarte.

i wolności; wszędzie wznoszą się gmachy grodzkie— ratusze (rath-haus)—gdzie wybrani obywatele czuwają nad interesami całej ludności. Urzędnicy dbają nietylko o spokój i prawa miasta, ale i o kieszeń, oraz żołądek mieszczan. Panuje ścisły nadzór nad oberżystą, piekarzem, nad browarzami, handlarzami; prawa i rozporządzenia, zapewniając każdemu *uczciwy* zarobek, czuwają, aby nie było zdzierstwa i łupiestwa, aby wyzwalający się z pod pięści feudalnych mieszczanie nie wpadali w szpony kramarzy. Dopiero gdy zarządy cechowe opanowują gmachy grodzkie, zaczyna się swawola chciwości zysku, idąca w parze ze skuwaniem życia miejskiego. Tak kończą miasta, grody i burgi, na schyłku średnich wieków.

Nasze współczesne miasta rosły jak na drożdżach, dzięki swobodzie przemysłowej wyludniającej wsie i spędzającej gromady tysiączne do ognisk, w których para, elektryczność, zrzeszona praca rodzą cuda i bogactwa. Ludzkość cała zdaje się przez długi czas biedz niestrudzona pod jarzmem przemysłu i handlu. Ale w tych wyścigach, pełnych anarchii, poplątały się interesy i dalszy pochód jest utrudniony. Wychodzą z ukrycia interesy ogółu i miast; nadzór nad handlem i przemysłem wzrasta. Pazury chciwe zysku zaczynają spotykać nożyce obrony społecznej. I oto powoli wracamy do myśli samorządu, przystosowania kramarstwa do interesów ogółu. Zjawiska, zwiastujące tę zmianę w stosunku zbiorowisk ludzkich do kramarstwa, spotykamy wszędzie, nawet niezależnie od ogólnych form wpsółżycia. Niemniej jasnem jest, że w Anglii, dzięki jej udoskonalonemu wyrazowi rozwoju ekonomicznego oraz szczególnie bogatym w wypadki dziejom miejskim, te nowe wykluwające się dopiero formy samorządu, ten, że się tak wyrazimy, powrót do nadzoru miasta nad swem życiem gospodarczem, ma szczególnie pouczające, bo klasyczne rysy. I tak Anglia stała się rodzicem niektórych form prawodawczych, tak samo i teraz będzie ona mistrzynią innych krajów na polu samorządu miejskiego i wiejskiego.

W. Nadolski.

Z GALICYI

Rzućmy okiem na ostatni *Rocznik statystyki*, wydany pod kierunkiem dr. T. Rutowskiego. Z ogółu ludności Galicyi do lat 20 umie czytać i pisać tylko 20,77% mężczyzn, a 16,67% kobiet, gdy w sąsiednim Szląsku umie czytać i pisać w tymsamym wieku 60%—z małą różnicą między kobietami a mężczyznami; u czechów procent dochodzi do 63% bez różnicy płci, na Morawie 62%. Powyżej lat 20 w Galicyi umie czytać i pisać 24,44% mężczyzn, a tylko 13,37% kobiet, na Szląsku 88% mężczyzn 75% kobiet, w Czechach 94$^1/_4$% mężczyzn, 88% kobiet, na Morawie 91% mężczyzn, 81% kobiet.

Wobec tego niepotrzeba chyba uprzedzać się, ażeby powiedzieć, że przeważna część ludności w Galicyi należy do najmniej oświeconych. Dzięki tylko temu, wszyscy, którzy odbierają jakie takie wykształcenie, zamiast pracować przy rzemiośle, wysuwają się naprzód; przechodzą do klasy urzędników, zwiększają proletaryat umysłowy i stają się biczem dla tej samej warstwy, z której łona wyszli. Owi proletaryusze, niby wykształceni, wytwarzają zwarte szeregi condotierów, walczących za tego, który im płaci; sprzedają poprostu odrobinę swojej wiedzy i służą narzędziem najlichszem w ręku awanturników lojalnej polityki austryackiej. Na posterunkach pracy przeto stoją obojętni lub trwożliwi, a wszystko prawie, co najzdolniejsze, sprzedaje swoje zdolności za kawałek chleba stronnictwu austryackiemu, głaskanemu orderami i pensyami.

Ażeby położenie materyalne ludu oznaczyć dokładniej, należy uwzględnić dwie pozycye najważniejsze: mieszkanie i wyżywienienie. Co do pierwszego, statystyka zaledwie może dać jakie takie pojęcie o kategoryach i wymaganiach ludności miejskiej; wiejska, jak dotychczas, u nas przynajmniej, jest pod tym względem mało badana—pozostaje przeto druga pozycya z kolei, a pierwsza według doniosłości—skala pożywienia. Weźmy kilka dat z najbliższego okresu. Mieszkaniec Galicyi spożywa rocznie zboża 114 klgr., kartofli 310 klg. i mięsa 10 klg. (Ograniczam się do najważniejszych kategoryi pożywienia). Węgier zużywa 182 klg. zboża, 100 k. kartofli, a 24 k. mięsa; niemiec 200 k. zboża, 300 k. kartofli i 33 k. mięsa; anglik 217 k. zboża, 160 k. kartofli i 50 k. mięsa. Uprośćmy jeszcze bardziej to pozycye, sprowadzając je do równoważnika zboża—wówczas otrzymamy, że anglik spożywa rocznie 607, francuz 586 k., belgijczyk 557 k., niemiec 507, węgier 375, a otoczony miłością i opieką rządu austryackiego przeciętny galileusz spożywa tylko rocznie 261 kilo., co w porównaniu z cyframi, któreśmy przytoczyli, tyle znaczy, że *jada mniej więcej co drugi dzień* *).

Jakże taki stan ludności nazwać? Nędzą i tylko nędzą! Łatwiej jednak wypowiedzieć ten wyraz, niż wskazać przyczynę jego i źródło. Przyczyny te są bardzo złożone pod względem różnorodności i cech. Leżą one nietylko w charakterze narodowym, lecz także w polityce rządu austryackiego, w ustroju wewnętrznym społeczeństwa, w systemie finansowym i sposobie jego przeprowadzania w życiu.

Niejednokrotnie utrzymywano — a ja, opierając się na datach statystycznych i własnych spostrzeżeniach, twierdzę to samo—że galicyjscy mężowie stanu, dla przypodobania się rządowi austryackiemu i dla uzyskania pewnych ulg i przywilejów klasowych, systematycznie ubożą ludność i kraj cały. Wszelkie dążenia, usiłowania i pracę na polu podniesienia oświaty i dobrobytu, prowadzone przez instytucye krajowe i autonomiczne—oni paraliżują, osłabiają, powstrzymują swoją działalnością, mającą na celu nie własnego kraju dobro *rzeczy wiste*, lecz interesy własne i tej warstwy rządzącej, która ich na stanowisko wysokie wysunęła. Z tego wynika, że działalność ich bywa pożyteczną dla Austryi, a zawsze szkodliwą dla Galicyi. Zwiększona długość linii kolei żelaznych, na których nie ma co wozić i ilość szkół, w których nauczyciele z głodu giną, a nie wielka garstka ich uczniów po czterech latach ledwie potrafi własne nazwisko podpisać—i wiele innych dobrodziejstw na papierze—wszystko to jest tylko smutnem świadectwem szlachecko-niemieckich rządów w Galicyi. Dunajewscy, Bilińscy, Madejscy, Bobrzyńscy, łącznie z Tarnowskimi i Koźmiankami, wzmocnili i wzbogacili Austryę, a ogłupili i zubożyli Galicyę, a co ważniejsza, ogłupiają i ubożą ją dotychczas.

Pominąwszy rozmaite przyczyny nędzy galicyjskiej, chwilkę zatrzymam się nad jedną—podatkiem. Przed kilku laty na jednostkę w Galicyi wynosił on 9 zł. r. W porównaniu z podatkiem innych państw europejskich, cyfra jest bardzo niska, gdyż Francya w tym samym czasie płaciła od jednostki 48 zł. r., Anglia 46, Hiszpania 21, Włochy — 29, Węgry — 19, Prusy — 10. Zdawałoby się przeto, że jesteśmy faworytowani przez rząd, gdyby można niebrać w rachubę siły produkcyjnej kraju.

*) O żywieniu się ludu galicyjskiego, jego warunkach materyalnych i moralnych, drukowaliśmy w r. z. osobne artykuły. Szczegóły w korespondencyi niniejszej są niejako uzupełnieniem obrazu poprzedniego. *Red.*

W tym samym czasie, w jakim obliczono wysokość podatków, wartość produkcyi na jednostkę wynosiła w Prusiech 200 zł. r., w Belgii 300 zł., w Anglii 450 zł., we Francyi 350 zł. w Węgrzech 100 zł., a w Galicyi *tylko 50 zł.*

Wobec tego stan rzeczy zupełnie się zmienia, bo w Prusiech jednostka podatkowa opłaca tylko $^1/_{20}$ część swego dochoku, w Belgii $^1/_{15}$, w Anglii $^1/_{10}$, we Francyi $^1/_8$, a w Galicyi $^1/_5$. Proszę jeszcze wziąć na uwagę i tę okoliczność, że cyfry podaliśmy przeciętne, że są one przeto znacznie większym ciężarem dla ludności robotniczej, niż dla tej, która siłę duchową opiera na pracy innych i na kapitale. Dawać może ten, kto ma, ale ludność robotnicza w Galicyi *nie ma* z czego płacić. Na potwierdzenie słów moich znajduję w ostatnim *Roczniku statyst.* charakterystyczną rubrykę pt. *dochody egzekucyjne.* Przypatrzmy się niektórym pozycyom. Podatek dochodowy np. w Galicyi wynosił w r. 1881, biorąc okrągło, 24 milj. zł. reń., w r. 1893 około 2 milj. zł. r.; z dochodu egzekucyjnego i procentu zwłoki wypadało na Galicyę w 1881 około 15½%, a w r. 1893 przeszło 31½%. W kategoryi podatków bezpośrednich takie same ustosunkowanie i wydatki poboru podatku i egzekucyi w r. 1881 wynosiły 21% w r. zaś 1893—40%. Wysokość tych liczb daje się wytłomaczyć ubóstwem stron opodatkowanych, a stąd przymusowem ściąganiem kar.

Gdzie więc siła podatkowa ludności jest słaba, gdzie egzekucya podatków ostra, samowolna i wykonywana przy pomocy grabieży i nadużycia — tam w kraju jest niezaprzeczona nędza; gdzie 80% ludności nie umie czytać i pisać, tam panuje bezgraniczna ciemnota umysłowa i albo wszelkie rady szkolne nie są warte funta kłaków, albo jest jakaś sprężynka, która nie tam gdzie trzeba ciśnie. Narzekania przeto na „oczernianie“ Galicyi są nieuzasadnione i niesłuszne, bo nigdy jeszcze żadnemu społeczeństwu na złe nie wyszło wykrywanie jego prawdziwego stanu i ujemnych stron życia.

Galicyę niszczą niedobory ekonomiczne, społeczne i moralne. 50 tys. ludności umiera tam co rok z *głodu*; najuboższi krwią i życiem opłacają podatki państwowe; życiem, które co dnia marnieje, a najlepsze siły żywotne społeczeństwa szukają chleba w urzędach, w biurokracyi, gdzie stają się narzędziem w ręku miejscowych oligarchów. Ohydny obraz ubóstwa materyalnego, gnuśność, lekkomyślność i zepsucie jest tylko odbiciem równie ohydnego obrazu naszej nędzy moralnej. W taki sposób miał odwagę przemówić do Galicyi poseł do Rady państwa, Szczepanowski. Nędza nam spowszedniała, zobojętnieliśmy na jej objawy, spowszedniał upadek moralny.

Wskazywać złe jest obowiązkiem uczciwego publicysty, bo nie w obojętności lecz w jawnej walce z nadużyciem władzy, siły, wpływu, które się rozpanoszyły w Galicyi, odnaleźć można środki zaradcze. Pragnąłbym, aby słowa moje słyszane i ważone były przez tych, którzy sobkostwem, ambicyą, służalstwem niemczyznie sprowadzają nędzę na ten kraj bogaty; ażeby one szarpnęły sumienie pochlebców lub najemników, pragnących uśpić czujność publiczną pod pozorem zabezpieczenia spokojnego życia.

Cho.

PAMIĘTNIK.

Nieszczęsny pomnik.

Może czytelnicy już zapomnieli, śród jakich to jasełek konkursowych, niedorzecznych wyroków, protestów i skandalów narodził się ostateczny

projekt wystawienia pomnika Mickiewiczowi w Krakowie. Dość powiedzieć, że nagrodzono pomysły, które nigdy nie miały być wykonane, że uznawano za najlepsze takie, które okazały się najgorszymi, że związywano i rozwiązywano najrozmaitsze komitety itd. Po długich wreszcie i gorszących zajściach przyjęto projekt p. Rygiera i powierzono mu robotę. Przez lat kilka przedsięwzięcie to spało tak mocno, iż ludzie, mniej obznajmieni ze sprawami publicznemi, przypuszczali, jedni—że Mickiewiczowi dawno już pomnik wystawiono, drudzy — że go całkiem zaniechano. Wprawdzie pojawiały się czasem w dziennikach warszawskich wiadomostki, że p. Rygier pracuje, że przysłał z Rzymu do Krakowa wymodelowane nogi lub głowę poety itd., ale na te wzmianki ogół nie zwracał uwagi. Nagle spadła na szpalty prasy naszej nowina, która zapowiada... wznowienie owej przed kilku laty odegranej farsy: mianowicie p. Rygier odstąpił samowolnie od warunków swego zobowiązania, zmienił zupełnie figurę poety i przedstawił tak złą, czy przekształconą, że jej przyjąć niepodobna. Ponieważ zaś komitet pomnikowy — rzeczywiście pomnikowy!— jest rozproszony po całym świecie (Warszawa posiada w nim również swoich członków) nie może zebrać się współcześnie na miejscu, więc dotąd nie powziął żadnej stanowczej uchwały i porozumiewa się z daleka. Jeden z członków ogłosił zdanie swoje publicznie i powiada: nie widziałem jeszcze pracy p. Rygiera, ale jeśli artysta odstąpił w niej od planu pierwotnego, będzie musiał ją przerobić. Zapewne tak radzą inni. Czyli: część komitetu, która widziała rzeźbę, uważa ją za złą, a część nie zadała sobie jeszcze tej fatygi i tymczasowo głosuje naoślep. To się nazywa w języku warszawskim „krzątać się *około* uczczenia największego z poetów naszych.“ Bądźmy szczerzy i nazwijmy to inaczej: cała historya pomnika przekonywa dowodnie, że Mickiewicz nikogo w komitecie zbyt nie grzeje (no, i nie ziębi). Gdyby szło o wyprawienie jakiemuś sympatycznemu synekurzyście lub ulubieńcowi reporteryi obiadu jubileuszowego, wtedy znalazłby się energiczny komitet i uczta nie spóźniłaby się ani o godzinę. Co innego Mickiewicz, od którego żadne pismo nie może się spodziewać nawet urywka do numeru gwiazdkowego. „Umarli prędko jadą“ — powiada słusznie Heine. Jeszcze kilka kroków dalej, a może będziemy mówili o autorze *Pana Tadeusza*, jak klasycy: „Nudzi nas już ten Smorgończyk.“

Lekarze w nocy.

Najmędrszy psycholog nie umiałby nam wytłomaczyć, dlaczego my pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, zapalamy się nagle do jakiejś myśli, która nas przez całe lata rozgrzać nie mogła. Zapiszmy więc sam fakt bez objaśnienia. Otóż pewnego dnia ogłoszono, że jedna apteka mieć będzie stale lekarzów do udzielania chorym porady w nocy. Za tą jedną pospieszyła druga, trzecia... i dziś mamy w najrozmaitszych punktach miasta zapewnioną tę pomoc, o którą daremnie dobijaliśmy się przez lat wiele. Rzeczywiście, położenie chorego w nocy, który bądź uległ jakiemuś wypadkowi, bądź uczuł groźne pogorszenie w stanie swego zdrowia, było dotychczas rozpaczliwem, zwłaszcza dla ludzi niezamożnych, nieposiadających w swych stosunkach jakiegoś doktora, do którego zwykle się zwracają i który do nich chętnie spieszy. Na domiar złego zaskoczeni nagłą potrzebą nie mieli prawie żadnych wskazówek: znali tylko mieszkania lekarzy bardziej wsławionych, którzy po całodziennej pracy noc zachowują sobie na spoczynek, w kalendarzach najczęściej adresy podawane są fałszywie, kogo tu spytać i kogo wezwać, szczególnie gdy chodzi o specyalistę? Dziś przynajmniej wiadomo, że należy udać się do apteki. Obok wygody dla ogółu, wynikną stąd inne korzyści. Naprzód lekarze bez zajęcia zdobędą praktykę, powtóre młodzi a zdolni, którzy przy braku poparcia i niepomyślnych warunkach może długo lub nigdy nie wybiliby się na wierzch, mają teraz sposobność okazania swej wiedzy i sztuki. Jak słyszymy bowiem, przebywający na dyżurach nocnych są tak rozchwytywani, że pracować muszą aż do rana. Jest to zarazem dowód, jak dalece to urządzenie było potrzebne. I w tej sprawie, jak w tysiącu innych, sprawdza się stara nauka doświadczenia, która przekonywa, że najrozumniejsze wywody teoretyczne i najczulsze odezwy nie mają nigdy tej mocy, co niezłomna konieczność życiowa. Dopóki lekarzy było w Warszawie za mało, żadne argumenty nie mogły ich skłonić do ofiarowania swych usług w nocy; dziś, gdy ich jest za dużo, sami objawili gotowość do niesienia pomocy w każdej porze. Utrudniona walka o byt rozstrzygnęła kwestyę, której najzasadniejsze dowodzenia nie byłyby rozstrzygnęły nigdy.

Katalog.

Najpoważniejsza u nas firma księgarska Gebethnera i Wolffa wypuściła swój „Katalog dzieł nakładowych lub w większej części nabytych.“ Obejmuje on 168 stronic szesnastki, wydanej bardzo gustownie. Jest to rodzaj podręcznika bibliograficznego dla kupujących, tem pożyteczniejszego, że księgarnia Gebethnera i Wolffa stanowi zarazem największą u nas firmę nakładową i trzyma w swem ręku głównie ruch wydawniczy. Szkoda jednak, że „Katalog“ ułożony został wyłącznie porządkiem alfabetycznym, bez rozdziału na przedmioty i bez skorowidza. Skutkiem tego kto chce w nim znaleźć autora, odszuka go łatwo; ale kto chce znaleźć książkę lub kilka książek pewnej treści, musi chyba przeczytać cały. Tak np. gdyby ktoś potrzebował dowiedzieć się, czy wyszły nowe i jakie dzieła o rybołówstwie lub hygienie, nie ma żadnej wskazówki ułatwiającej. Jeżeli już przedsięwzięto dokonanie spisu pracowitego i kosztowne wydrukowanie go, należało podjąć jeszcze dodatkowy trud rozkładu książek według ich treści, jak to czyniono dawniej.

Ostrożnie z fuszerką!

Odbieramy następujący list z Baku:

„W „Pamiętniku“ (nr. 4) *Prawdy* opisany jest czyn szewca warszawskiego. Zdaje się, że jak ów szewc, tak powinien postąpić każdy człowiek, że jest to czyn najzwyczajniejszy w świecie, najzupełniej naturalny, niewymagający żadnego bohaterstwa, poświęcenia, ani odwagi specyalnej. A jednak przed wzmianką o nim trzeba postawić pytanie: „jeżeli to tylko prawda?..“, trzeba go opisywać w gazetach jako coś szczególnego, objaśniać, wnioski przeróżne z niego wyciągać. Jakie to smutne!

Rzeczywiście, u nas sprawy ogólniejszego znaczenia bardzo słabo oddziaływają na jednostkę; zamiast interesowania się niemi, widzimy obojętność, ospałość, krótkowidzące lekceważenie, brak zrozumienia tej spójni, która węzłem ścisłym łączy ludzi, a losy osobników odbija na wielu innych, słowem, płytki egoizm, wywołujący tak pospolite zdanie: „co mnie to obchodzi!“ i dowodzący bardzo małego jeszcze stopnia uspołecznienia. Pociąga to za sobą brak sumienności w handlu i przemyśle, szczególnie w stosunkach zewnętrznych, niepojmowanie nawet własnego interesu. Przemysłowiec przeznacza na wywóz najmarniejsze towary, wysortowane, wybierki, nieznajdujące nabywców na miejscu, kontent, iż tą drogą pozbywa się niepotrzebnego balastu. Tymczasem nie zastanawia się nad tem, iż w ten sposób podrywa zaufanie i psuje opinię nietylko swojej firmy, lecz innych, w temże miejscu istniejących. W Warszawie nie ma się o tem pojęcia; zrozumieć to można dopiero po wyjeździe do dalekich krajów, dokąd towary warszawskie nadchodzą. Ot np. tu w Baku. Siedzę przy stole i piszę: ubranie mam na sobie warszawskie, zaczynając od obuwia i kończąc na krawacie; lampa, paląca się przede mną, nosi stempel firmy warszawskiej, nawet szkło w niej jest warszawskie. Dotąd Warszawa cieszy się tu opinią bardzo dobrą, wyroby nasze krajowe stawiane są omal nie na jednym poziomie z zagranicznymi, a na szyldach: „sklep polski“ lub „wyroby warszawskie,“ imponują mieszkańcom tutejszym. Niektóre przedmioty, jak np. obuwie, gotowe ubranie, większość galanteryi, towary łokciowe i w. in. sprowadzane są prawie wyłącznie z Warszawy. Sprawa tedy handlu naszego stoi nieźle i przy umiejętnem prowadzeniu interesów możnaby pozyskać tu bardzo wygodny rynek i dalej na wschód go rozszerzyć. Tylko zaakcentować należy — umiejętne prowadzenie interesu. Bo nie rzadko też dają się słyszeć głosy, narzekające na niesumienność Warszawy. Kupcy galanteryjni skarżą się już, że Warszawa nadsyła im nieraz towary wysortowane, wyszłe z mody, licząc widocznie na to, że taki zapadły kąt nie potrzebuje najświeższych zdobyczy mody europejskiej. Tymczasem przeciwnie — gdzie w gruncie rzeczy nie ma cywilizacyi, tam starają się brak ten zapełnić pozorami i za modą tu bardziej, niż gdzieindziej się uganiają. Słyszałem również skargi na jakość obuwia warszawskiego; rzeczywiście, nie widziałem tu na butach firm znanych w Warszawie — partacze umyślnie, czy nieumyślnie psują dobrą dotąd opinię.

Tych kilka uwag nasunął mi czyn bohaterski szewca warszawskiego. Posyłam je z dalekiego kraju dla przemysłowców warszawskich.“ *E. S.*

Tę przestrogę powtarzaliśmy już kilkakrotnie, powtarzali ją też inni — a złe się szerzy z taką bezczelnością, jak gdyby ono nie groziło jednemu z najżywotniejszych interesów kraju.

Bufety szkolne.

Niedawno przy odeskiej szkole handlowej władza pedagogiczna założyła bufet dla młodzieży, sama zakupuje produkty i sprzedaje śniadania niemal po cenach kosztu. Doniosłość takiego urządzenia łatwo zrozumie każdy, kto przypomni sobie sposób odżywiania się młodzieży szkolnej. Zwykle uczeń, łyknąwszy w domu na prędce szklankę herbaty, spieszy, ażeby się nie spóźnić, zabierając bułki z masłem lub kawałkiem zimnego mięsa, stosownie do zamożności. Jest to właściwie dalszy ciąg śniadania, spożywanego przed rozpoczęciem albo po skończeniu pierwszej lekcyi. Po 4—5 godzinach głód spędza chłopców do szwajcarów miejscowych, którzy w swoich mieszkaniach mają jadłodajnie prywatne, zasilane produktami przez nikogo niekontrolowanymi. Można tam dostać herbaty, kawy gorącej, serdelków, kiełbasy itd. Są to właściwie przedsiębiorstwa spekulacyjne, dużo dające do życzenia pod względem zdrowotnym. Otóż z powodu bufetu, urządzonego w Odesie, prasa rosyjska zachęca władzę szkolną wogóle do naśladowania tego przykładu: „Jest to bardzo wdzięczne pole dla kobiet, żon i córek pracowników z dziedziny pedagogicznej.“ Jadłodajnie tego rodzaju, sprzedając produkty po cenach przystępnych, miałyby jednak zysk, który można byłoby w części zużytkować na pożywienie uczniów ubogich, w części zaś na opłacanie wpisu za nich. Ten dział gospodarczy, prowadzony przez osoby oświecone i sumienne, dawałby wszelką rękojmię bezpieczeństwa dla zdrowia; produkty zaś, pochodzące z zewnątrz, jak mleko, masło, śmietankę, chętnie analizowałby lekarz zakładu naukowego. Wreszcie pożądano jest również,

ażeby w tych bufetach wprowadzono kumys dla słabowitych, mogących korzystać z tego środka według recepty. Bufety, urządzone w taki sposób, miałyby na względzie nietylko zdrowie młodzieży szkolnej, lecz i ułatwienie ubogim korzystania z nauki.

Zajrzawszy kiedyś do kancelaryi szkoły prywatnej p. Wojciecha Górskiego w Warszawie, byłem świadkiem pokrzepiania się uczniów gorącem śniadaniem w obszernej, wygodnej sali. Nie wiem, na jakich warunkach jest udzielana ta strawa, ale powiedziano mi, że ów dział gospodarczy należy również do zakładu naukowego, więc tak samo, jak w Odesie, jest u nas zaczątek zalecanych urządzeń. Należałoby tylko je rozpowszechnić we wszystkich szkołach, z warunkiem pominięcia zysków osobistych. O ile wszakże występuje tutaj jednostka, tj. oddzielne gospodarstwo kulinarne każdej szkoły, zyski na rzecz uczniów ubogich muszą być stosunkowo małe, ze względu na niewielkie zakupy prowiantów. Otóż zmieniłaby się postać rzeczy, gdyby urządzenie i prowadzenie takich bufetów wzięły na siebie zawiązujące się obecnie w różnych miejscach Towarzystwa pomocy dla młodzieży szkolnej, o których pisaliśmy niedawno. Mając pięć, sześć lub więcej szkół, czyli kilka albo kilkanaście setek stołowników, jadłodajnie takie mogłyby tanim kosztem czynić wielkie obroty, pozawiązywać bezpośrednie stosunki z hurtowymi dostawcami produktów, przez co zyski na rzecz młodzieży ubogiej podniosłyby się znacznie; bufety szkolne byłyby więc jednym ze środków zwiększania funduszów Towarzystwa. Pod względem formalnym nie zaszłyby w tej mierze żadne przeszkody, bo przecież w świeżo zatwierdzonej normalnej ustawie tych instytucyj jest paragraf, zalecający urządzanie garkuchni dla uczniów. Trzeba tylko, ażeby szkoły w swoich lokalach ofiarowały odpowiednie pomieszczenie. *Z.*

Mieszkania letnie — na własność.

Z mnóstwa projektów nabywania domów i mieszkań na własność, ten bodaj byłby najłatwiejszym do urzeczywistnienia. Zrodził się on świeżo na bruku warszawskim, tj. w chwili, gdy już wielu przezornych i zabiegliwych ojców rodzin zamawia sobie siedziby wiejskie, trzymając się słusznie tej zasady, że im wcześniej najęte, tem tańsze i lepsze będą. Ktoś jednak spróbował innego sposobu: Oto gdzieś, zdaje się pod Radomiem, kupił chałupę z kawałkiem gruntu za czterysta czy pięćset rubli i ma tym sposobem własne schronienie przed spiekotą, zaduchem i gwarem miejskim. Nie każdy może się umieścić o paręset wiorst od Warszawy; większość pracowników różnych instytucyj miejskich wie o urlopach ze słyszenia, albo korzysta z nich raz na lat kilka. Tacy przedewszystkiem myślą o świeżem powietrzu dla żon i dzieci, więc starają się je umieścić w pobliżu, ażeby czuwać nad niemi i przynajmniej każdą niedzielę spędzać na wsi. Inni wreszcie, na wzór pijących herbatę bez cukru, „w prydumkę," lokują się w pierścieniu okolicy podmiejskiej, a parę krzaków, jakaś sadzawka, trochę piasku, trawy i kilka ptaszków jest w ich wyobraźni „całą wsią," którą się rozkoszują co wieczór po zajęciach biurowych i wdychają powietrze, zmieszane jeszcze z kurzem, dymem fabrycznym i wonią kanałów ściekowych. Mieszkania takie, bardzo poszukiwane, są zazwyczaj drogie i niewygodne. Ale obok powyższych kategoryj „letników," jest jeszcze dość znaczna liczba szczęśliwszych, którzy mogą się oderwać od miasta i zająć całorocznych nawet na parę miesięcy. nie są wszakże o tyle zamożni, ażeby weszli w poczet kuracyuszów, szukających głównie rozrywki w gwarnych miejscowościach leczniczych, stacyach klimatycznych w kraju lub za granicą. Dla takich mieszkanie letnie zdala od miasta wielkiego, byłoby najodpowiedniejsze i oni to powinni wyzyskać w praktyce projekt nabywania siedzib wiejskich na własność. Niewątpliwie znajdzie się wielu właścicieli ziemskich, usiłujących chociażby częściowo rozparcelować majątek, którzy chętnie wybudują chałupę i sprzedadzą mieszczanowi z niewielkim kawałkiem gruntu na raty roczne, lub za gotówkę, stosownie do zamożności nabywcy. W pierwszym wypadku po czterech, pięciu latach można już mieć swoją siedzibę z zyskiem w rozmiarach sumy, płaconej co rok za wynajęcie i zaoszczędzeniem czasu tudzież kłopotów, które zwykle towarzyszą poszukiwaczom letnich mieszkań Grunt koło chałupy może obok przyjemności czysto estetycznej, tj. ogródka kwiatowego, dać jeszcze możność zasiewania niezbędnych ogrodowizn, które także wejdą do rubryki oszczędności gospodarskich. Wreszcie o paręset wiorst po za Warszawą wszelkie produkty żywności są znacznie tańsze niż w zwykłych siedliskach letnich, gdzie już spekulacya i fałszerstwo na dobre się rozgościły. *—ir.*

Bilety kolejowe.

W związku z kwestyą wypoczynku letniego są bilety sezonowe, które obecnie już weszły na porządek dzienny obrad u steru komunikacyjnego. Przedewszystkiem do wybitnych miejscowości kuracyjnych będzie opłata na sezon zniżona w stosunku do dzisiejszej taryfy o 30%. Nadto w granicach mieszkań letnich dokoła wielkich miast ustanowione będą zwykłe bilety spacerowe, abonamentowe i powrotne— nie wiemy tylko, na jakim rachunku oparte. Jak wiadomo, taryfy strefowe dla klasy I i II dają bardzo nieznaczną zniżkę w stosunku do taksy poprzedniej, a nawet w pewnych wypadkach są droższe, niż dawniej; dla klasy zaś III-ej żadnych ulg nie ma aż do wiorst 160. Jeżeliby więc wprowadzono ceny ze zniżką dawniejszą, publiczność nie poczułaby żadnej różnicy. Mamy atoli nadzieję, że pobieranie opłaty za przejazd pasażerów w okolicach podmiejskich będzie oparte na innych zasadach, tem bardziej, że jest do rozpatrzenia wniosek stałej zniżki w pewnym promieniu wielkich zbiorowisk ludzkich. W programie reform jest także wprowadzenie biletów miesięcznych, kwartalnych i rocznych, na wzór Belgii, gdzie opłata roczna z prawem jeżdżenia wszystkiemi bez wyjątku kolejami w kraju, wynosi 400 franków, półroczna 240 itd. Za powyższym przykładem poszły także koleje wirtemberskie, badeńskie i in. W Rosyi, ze względu na wielkie obszary, bilety takie musiałyby być znacznie droższe, nigdy wszakże o tyle, ażeby dorównywały kosztom przejazdów najbardziej ruchliwych komiwojażerów i kupców. System taki jest już pewnem zbliżeniem do markowego (jednej skali opłaty, bez względu na przestrzeń).

Dom dla pracowników handlowych.

Wszelkie stowarzyszenia nasze w ostatnich czasach gorączkowo dążą do stworzenia siedzib własnych. Od lat wielu mozolnie pracuje nad tem Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, ogrodnicze ma już swoją Bagatelę, wślad idą cykliści, wreszcie wioślarze marzą o swoich śmieciach. Obecnie Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych wzięło się z niebywałą energią do wybudowania domu z własnych funduszów. Wprawdzie do czynu daleko, bo środków bardzo jeszcze mało, ale „ofiarność publiczna" sączy się ciągle, chociaż wązkim strumyczkiem. W ciągu ośmiu miesięcy zdolano zebrać pięć tysięcy rubli. Wobec tego, że owa ofiarność na wszystkie strony i w różnych postaciach jest wysysana, suma powyższa stanowi pokaźną kwotę; ale niewielką w stosunku do kosztów budowy domu, chociażby najskromniejszego. Jeżeli tylko 40 tysięcy potrzeba na ten cel zebrać, to dopiero po latach ośmiu lub dziewięciu można będzie przystąpić do budowy domu. Może inicyatorowie potrafią wynaleźć jeszcze inne ssawki, które przystawią do serc i kalet możnych. Zabiegi pracowników w tej mierze godne są poparcia i uznania, ze względu, że nie mają na celu jedynie pomieszczenia dla klubu, lecz stworzenie pensyonatu dla członków długoletnich, pozbawionych zdolności do pracy lub środków do życia.

W DALI.

Radom. Istniejąca od lat kilku czytelnia bezpłatna przeszła pod zarząd miejscowego Towarzystwa dobroczynności. Ma ona dziś już 2,500 dzieł (3,134 tomy) w języku polskim i rosyjskim; czytelników—320. Dochód za r. 1894 wyniósł rs. 182 kop. 59, wydatki rs. 176 k. 63. Urządzone niedawno dwa przedstawienia amatorskie przyniosły dla tej instytucyi rs. 592 kop. 97.—Miejscowa kasa przemysłowców rozwija się pomyślnie. Suma okrotów za rok ubiegły wynosi przeszło dwa miliony rs. W tym samym okresie udzielono 1860 pożyczek na sumę 720,000 rs. Największa wynosiła rs. 5,000, najmniejsza—6 rs. Liczba uczestników zwiększyła się o 174. Ogółem jest ich 2,636.

Mińsk. Na wniosek p. Janczewskiego przy radzie miejskiej powstanie biuro statystyczne, wyłącznie na użytek miasta. Pożądane byłoby rozszerzenie działalności tej instytucyi w granicach całej gubernii.—W Towarzystwie rolniczem prof. uniwersytetu petersburskiego, p. Wojejkow, poruszył bardzo ważną sprawę zakładania stacyj meteorologicznych. Wnioskodawca ofiarował gotowość dostarczenia wszelkich danych, dotyczących kosztów i rodzajów urządzenia, nadto zaznaczył, że komisya meteorologiczna Towarzystwa geograficznego w Petersburgu nie odmówi swego poparcia.—Miejscowe gimnazyum klasyczne z d. 13 stycznia r. b. liczyło 489 uczniów, w tem wyznania prawosławnego 210 (44,6%), katolickiego 187 (38,2%), mojżeszowego 65 (13.3%) ewangelicko-augsburskiego 11 (2,3%), mahometańskiej 8 (1,6%), ewangelicko-reformowanego 3 (0,6%).

Ryga Ministeryum finansów wydało rozporządzenie, ażeby kasy skarbowe w prowincyach nadbałtyckich przyjmowały deklaracye od osób prywatnych tylko gdy są napisane w języku urzędowym. Dotychczas przyjmowane były deklaracye takie od kupców, przemysłowców, rzemieślników i wogóle osób prywatnych w języku ludności miejscowej.

Kijów. Kontrakty w całej pełni. Na pierwszym planie, jak zwykle, interesy cukrownicze, a obok nich niebywałe dotąd rozgoryczenie członków syndykatu z powodu niedotrzymywania zobowiązań wielu towarzyszów. Przy sposobności powtarzamy według słów *Now. Wrem.* zdarzenie następujące: Pewien spekulant kijowski kupił niedawno starą, stojącą pustkami cukrownię, zaopatrzył ją w stare również maszyny i zawiadomił biuro przedstawicieli, że „fabryka" jego wstępuje do syndykatu z produkcyą roczną w rozmiarach 200,000 pudów mączki. Biuro ustanowiło normę produkcyi dla danej „fabryki" na 150,000 pudów. Wówczas spekulant, który naturalnie nie myślał nawet zaczynać fabrykacyi, sprzedał swą normę rzeczywistemu fabrykantowi i schował do kieszeni 150,000 rub. Biuro syndykatu zamierza podobno pociągnąć go do odpowiedzialności.

Rostów nad Donem. W N. 4 *Prawdy* zamieszczono wzmiankę, jakoby w Rostowie nad Donem fabrykanci łódzcy mieli otworzyć pierwszą południowo-rosyjską fabrykę sukna. Od paru lat jest już w projekcie założenie w pobliżu miasta zakładu, któryby ze względu na obfitość i łatwość dostawy wełny spowodował niewątpliwie silne współzawodnictwo z rezultatem zniżki

cen. W tym celu przyjeżdżali delegaci, zgłębiali tę sprawę, lecz do stanowczych rezultatów nie doszli, a nie jest to rzeczą obojętną nie tylko dla łódzkich, ale i innych fabryk z Królestwa i cesarstwa, które tu mają rzeczywiście spory odbyt swych wytworów, bo miasto nasze, jak dotąd, stanowiło ognisko handlu dla całego Kaukazu. Jednakże z przeprowadzeniem kolei do Władykaukazu i odnóg do Petrowska, Kisłowodska, Stawropola i Noworosyjska (projektowane jeszcze do Jejska i Carycyna od Tichoreccka) wszelkie towary bywają sprowadzane wprost do końcowych punktów kolei: Petrowska, Stawropola, Noworosyjska; znaczenie więc Rostowa jako pośredniej stacyi tranzytowej upada, przeto zastój w handlu tego miasta coraz więcej spostrzegać się daje, skutkiem czego ostatnimi czasy bankrutują firmy nawet poważne. Odczuwają to przeważnie fabryki z Królestwa, które o tyle mogą liczyć na odbyt swych produkcyj w Rostowie, o ile udzielają kredytu firmom tutejszym, co jakoś łatwo się udaje. Oprócz manufaktury zaznaczyć wypada dość rozwinięty handel obówiem warszawskiem, sprowadzanem wyłącznie przez kupców żydów, którzy obecnie zniżają dość wygórowane ceny tego towaru wobec silnego współzawodnictwa znacznej liczby szewców chrześcian, przybyłych różnymi czasy z Warszawy.—W bieżącym roku przez pocztę rostowską otrzymujemy 50 egzemplarzy pism warszawskich. Biorąc na uwagę, że niektórzy abonenci otrzymują po kilka gazet i tygodników, wypadnie, że odczuwających potrzebę czytania jest nie więcej, niż 3% ogólnej ludności, przybyłej z Królestwa do Rostowa i okolic, a składającej się przeważnie z ludzi mniej więcej inteligentnych. — W końcu stycznia, dorocznym zwyczajem, odbył się w miejscowym klubie kupieckim wieczór wokalno-muzykalno-deklamacyjno-tańcujący ze współudziałem artystów ruskiej opery i dramatu, a także amatorów, na korzyść bezpłatnej szkółki przy kościele katolickim. Wieczór ten pod względem materyalnym należy zaliczyć do pomyślnych, dzięki poparciu rdzennej ludności, my zaś dowiedliśmy jak i zawsze zresztą, że gdy chodzi o cel publiczny, nie żałujemy... nóg do tańca.

A. Krześniak.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZAKUPY ZBOŻA.

Ogłoszono w końcu stycznia Najwyższe pozwolenie na rządowe zakupy zboża. Wiadomość ta obiegła państwo całe i ożywiła rolników, jako zapowiedź otwarcia nowych, poważnych rynków wewnętrznych i to takich, które w grę obrotów nie wprowadzą spekulacyi, zakupy zaś będą czynić bezpośrednio u wytworców. Szczegółów urządzenia tej wielkiej machineryi handlowej jeszcze nie znamy. Wnosząc wszakże z luźnych prób dotychczasowych (np. zakupy dla wojska), możemy przewidzieć zasadnicze warunki: ściśle zachowywanie terminów, czystość ziarna i dostawa ilości, odpowiedniej do zapotrzebowania. To właśnie są takie wymagania, które w praktyce bywały najtrudniejsze do spełnienia z różnych powodów i zobowiązań, przyjętych względem spekulantów, złych dróg i braku gotówki na dostawę. Dziś te hamulce w znacznej mierze dadzą się usunąć, dzięki łatwemu zaciąganiu pożyczek z Banku państwa na zastaw zboża, o ile ziemianie potrafią się wycofać z rąk aferzystów, łapiących ich zaliczkami na wędkę zobowiązań paroletnich.

Dotychczas zakupy rządowe nie miały jednolitości, ani też organizacyi stałej w całem państwie. Było to właściwie ściąganie zapasów z rozporządzenia ministeryum wojny na potrzeby wojska. O rezultatach zaś tych tranzakcyj, dokładnych szczegółów nie mamy. Wiemy tylko, że ziemianie z gub. mińskiej zrazu nie mogący podołać zobowiązaniom, dziś już przystosowali się do żądań militarnego spożywcy, z zadowoleniem jego i z korzyścią własną. Ogólne zaś dane, według najświeższego sprawozdania, tak się przedstawiają: Bezpośredni zakup zboża na potrzeby wojska odbywał się w dwudziestu guberniach tudzież w okolicach Uralu nad rzekami Kamą, Białą i Czusową, wreszcie w Odessie. Ogółem zakupiono zboża 14½ milionów pudów. Według organu urzędowego ministeryum skarbu, operacye te dały bardzo pomyślne rezultaty, wpłynęły bowiem korzystnie na stan rynków międzynarodowych, z drugiej zaś strony skłoniły ziemian do staranniejszego oczyszczenia ziarna, gdyż cena ściśle zależała od jakości towaru.

Obecna organizacya zakupów rządowych będzie miała inny charakter. Celem jej jest ożywienie rynków zbożowych, przeciwdziałanie ich ospałości, a najważniejsza—zaspokojenie potrzeb ludności przez wyrównanie niedoborów śród ubogich, drogą sprzedaży ze składów rządowych po cenach przystępnych, lub o ile wnosić możemy—udzielania pożyczek w naturze; wreszcie dla zaopatrzenia wojska w prowiant.

Jak widzimy, zakupy dotychczasowe były tylko jednym szczegółem przyszłych, które się rozwiną na szeroką skalę. Produkty będą nabywane bezpośrednio od wytwórców, zarówno szlachty, jak i włościan. Rozmiary operacyi nie są jeszcze określone. W roku bieżącym prawdopodobnie nie rozwiną się one w całej pełni, skutkiem lichego zboża ze zbiorów przeszłorocznych. Z powodu tej nowej organizacyi w wewnętrznym handlu zbożowym, dały się już słyszeć różne zdania ludzi, przewidujących przyszłe „konjunktury." Twierdzą oni, że skoro powstaną w różnych punktach państwa liczne zapasy zboża, przez rząd skupionego, to taka masa ziarna w rękach ministeryum skarbu jeszcze bardziej zniży ceny za granicą, gdyż wejdą tam w grę nie tylko stopnie zapotrzebowania i ilość, ale i obawa, że ministeryum w każdej chwili może rzucić na rynki ogromne partye zboża i tym sposobem rozbije wszelkie rachuby. Wobec ciągle wiszącego niepokoju, kupcy albo zachowają powściągliwość w nabywaniu towaru, albo też będą się starać wszelkimi sposobami zniżyć ceny jeszcze bardziej dla zabezpieczenia się od strat. Przewidywania te, oparte całkiem na logicznem rozumowaniu, są jednak przesadne. Warunkiem organizacyi zakupów zbożowych jest zastrzeżenie, że zapasy mogą być sprzedawane stopniowo i przy takim stanie cen, iżby operacye te nie mogły obciążyć rynków. Giełdy zagraniczne będą rzeczywiście zawsze pamiętać o tych zakupach ministeryalnych, ale powinna je uspokajać ta okoliczność, że zapasów owych nie poczyniono w celach spekulacyjnych, że w razie potrzeby można je wewnątrz państwa szybko przerzucać z miejsca na miejsce, ale nie łatwo pchnąć odrazu na rynki zagraniczne.

Jest jeszcze jedna okoliczność, którą jako zarzutem posługują się krytycy nowego systemu operacyj handlowych. Twierdzą oni, że skoro Bank państwa udziela pożyczki rolnikom na zastaw zboża, zakupy rządowe są już zbyteczne, jako środek zaspokojenia potrzeb ubogiej ludności w razie nieurodzaju, gdyż ziarno zastawione stanowi samo przez się takie zapasy, które na powyższe cele użyć można. Jest to tylko niezrozumienie istotnego stanu rzeczy i przepisów bankowych; zboże bowiem zastawione może być sprzedane w każdej chwili, a więc już traci ten charakter, jaki jest nadany zapasom, gromadzonym przez ministeryum skarbu.

Nowa organizacya dla ogółu rolników i dla ludu jest niezmiernie ważna. Dziś bezkarnie i z powodzeniem krążą po wsiach spekulanci, sami robią ceny i skupują tanio zboże u włościan. Nowa machinerya handlowa usunie w znacznej części te rzesze wyzyskiwaczów, skarb zaś, występując jako bezpośredni nabywca, będzie mógł płacić według cen istotnych, panujących w danej chwili na rynkach. Więksi ziemianie również będą mogli powoli wyplątywać się z sieci aferzystów, trzymających ich w wiecznej zależności. Ponieważ nie wszędzie zakupy na potrzeby wojska odbywały się dotychczas bezpośrednio u wytwórców, więc oczywiście i tutaj pośrednikami byli spekulanci, którzy posługując się drobnymi poszukiwaczami ziarna, dawali towar wojsku z trzeciej do czwartej ręki. Intendentury wojskowe muszą mieć na względzie własną korzyść, a więc płacą ceny umiarkowane, dwie zaś kategorye spekulantów ciągną z tych operacyj niezłe zyski, łatwo zatem przewidzieć, jak na owem pośrednictwie wychodzi rolnik. Potrzebując gotówki, bierze on zaliczkę od spekulanta często w takiej porze roku, kiedy ceny są najniższe i znaglony ostatecznością, przystaje na ohydny wyzysk: sprzedaż zboża po cenach, panujących w chwili brania zasiłku, chociażby się one nawet podwoiły na rynkach podczas dostawy. I oto nowy rodzaj lichwy, gnębiący wprawdzie nie wszystkich, ale bardzo wielu rolników. Muszą oni sprzedawać towar spekulantom po cenach, niepokrywających częstokroć nawet w połowie kosztów wytworzenia. Ministeryum skarbu, zorganizowawszy zakupy w państwie, nie spożyje całkowitej produkcyi, ale pochłonie jego nadmiar i jako nabywca, wchodzący w bezpośrednie stosunki z rolnikiem, płacąc i nadal umiarkowanie, da mu jednak w zysku całą różnicę, tonącą w kieszeniach spekulantów.

Chodzi teraz tylko o to, czy ziemianie potrafią należycie wywiązać się z zobowiązań. Do warunków, najuciążliwszych dla wielu, należą, jakeśmy rzekli: ścisłe trzymanie się terminu dostawy, czystość ziarna, wreszcie — dostarczenie żądanej ilości produktu. Dotychczas jest mowa tylko o życie i pszenicy. Są to główne artykuły dla uregulowania potrzeb ludności w razie niedoborów. Ale wojsko, jako stały spożywca, dużo konsumuje innych produktów: mąki, kaszy, owsa, jarzyn itd. Wszystko to dostaje również przez aferzystów. Otóż być może, iż powyższa organizacya z czasem obejmie i te inne artykuły żywności.

Ziemianie nasi, naradzający się w ubiegłym miesiącu nad sposobami dostawy zboża dla intendentury wojskowej, narzekali właśnie na uciążliwość niektórych warunków, między innymi na system licytacyjny. Mamy wszakże najzupełniejsze prawo mniemać, że ogólna organizacya zakupów rządowych, o ile będzie wymagająca pod względem terminów, ilości i jakości ziarna, o tyle znowu nie zechce obarczać dostawców uciążliwą formalistyką, która we wszelkich przejawach życia ekonomicznego zawsze szkodę tylko przynosi.

Ziemianie jednak nie powinni zachować się biernie względem nowego spożywcy. Skarb nie będzie zaglądał do każdego dworka, chatki lub zajeżdżał furmankami po towar. Trzeba więc obok wielkiej machineryi zakupów stworzyć inną — sprzedaży. Nad tem ziemianie nasi także naradzali się (odnośnie do intendentury) i w rezultacie stworzyli stałą delegacyę, złożoną z dwunastu członków, którzy mają reprezentować w danym zakresie rolników całego Królestwa. Sposób jednak działania, pomimo długich i gorących rozpraw, nie zarysował się jasno. Wywnioskowaliśmy tylko tyle, że delegacya w każdej chwili jest gotowa na usługi ziemian, tj. że mogą oni do niej się zwracać, jako dostawcy. To jeszcze mało. Kilkoletnie baczne przyglądanie się sprawom rolników przekonało nas, że oprócz stosunkowo nielicznej garst-

ki członków sekcyi i przedstawicieli Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ludzi ukształconych, dobrze rozumiejących potrzeby ogółu, większość po za własną miedzą nic nie widzi. Piękne projekty i wnioski, wysnuwane w sali na Krakowskiem Przedmieściu, rzadko lub późno do nich dochodzą, bo prezydyum liczy na sprawozdania w pismach. Niechże szanowni radcy i przewodniczący zadadzą sobie raz trochę trudu i urządzą ankietę czy też kwestyonaryusz dla sprawdzenia, ilu ziemian czyta gazety. Byłby to materyał ciekawy i pożyteczny, chociaż może bardzo smutny, ale miałby tę dobrą stronę, że skłoniłby sekcyę do dokładnego spisu ogółu ziemian i rozsyłania im ważnych uchwał lub wskazówek. Mogą nam powiedzieć, że to osłabi chęć zapisywania się w poczet członków sekcyi. Jestem zdania odmiennego: zainteresowani ważnemi sprawami z daleka, zechcą przyjrzeć się im z blizka, dla własnej korzyści.

Otóż niech tym razem delegacya, stworzona w sprawie dostawy zboża intendenturze, zechce okólnikowo zawiadomić wszystkich ziemian o swem istnieniu i jego celu; niechaj następnie ściąga energiczne zobowiązania co do dostawy żądanej ilości produktu. W ten sposób, gdy będzie miała sumę zaofiarowania z całego kraju, łatwiej wejdzie w układy z hurtowym odbiorcą. Mówiąc to, mam na myśli nie intendenturę, lecz ogólną rządową organizacyę zakupu zboża, która będzie działać w całem państwie bez wyjątków. Prawda, zadanie to, szczególnie z początku, dość ciężkie. Trzeba zebrać sumiennych, rzetelnych dostawców, którzy w przyszłości zasłużyliby na bezwzględne zaufanie. Wreszcie sama delegacya z niewyraźnym programem nie wystarcza. Należałoby stworzyć „Spółkę dostawy zboża dla ministeryum skarbu,“ z agenturami, rozsianemi w całym kraju, które, rozwinąwszy żywą akcyę, nie pominęłyby najmniejszego wytwórcy, zbierałyby dokładne dane dla swego steru i jednocześnie dostarczyłyby ziemianom potrzebnych wiadomości o cenach, warunkach proponowanych przez odbiorcę itd. Agentury takie, stykając się z ziemianami pojedynczymi, znając wybornie ich interesy, mogłyby z góry określać sumę dostawy i gwarantować ich terminowość. Ten warunek, dotąd ściśle wymagany przez intendentury pod grozą kary, najbardziej przeraził rolników, z czem się nie taili na swoich obradach. Czyż tak jest trudne dotrzymanie terminu, gdy ten się oznaczą na kilka miesięcy przed dostawą? W spełnieniu tych ostatnich zobowiązań wielką pomocą mogą być pożyczki bankowe. Należy więc tylko pobudzić energię uśpioną, rozwinąć działalność w całej pełni i nie zrażać się trudnymi początkami.

Drogomir.

— *Birż. Wied.* donoszą, iż ministeryum rolnictwa sprowadziło z Turkiestanu wagon pszenicy „czułbidoi,“ odpornej na suszę. Rozdano ją rolnikom, którzy wyrazili życzenie przeprowadzenia prób w swoich majątkach.

— W Petersburgu powstaje „Słowiańskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia.“ Właścicielami jego akcyj mogą być tylko poddani rosyjscy.

— Ministeryum skarbu pozwoliło na nieopłacanie cła od przywożonego z zagranicy w małych partyach (po 15 sztuk) pieczywa rasowego na wiosnę i latem.

O PRAWDĘ.

I.

Wyjaśnienie.

W poprzednim numerze *Prawdy*, w odpowiedzi p. C. Jellenty p. Karpowiczowi znajduje się następujące wyrażenie: „gdybym zamiast powiedzieć: oszust literacki lub artystyczny, powiedział: „Literat Oszuski,“ albo zamiast: reporter kanalia, powiedział „Reporter Kanalski,“ albo zamiast rzezimieszek dziennikarstwa, napisał: „Rzezicki“ lub „Mieszkowski.“ Ponieważ wszystkie te nazwiska są fikcyjne, więc za takie uważaliśmy i ostatnie. Tymczasem dowiadujemy się, że p. Mieszkowski, redaktor *Kuryera codziennego* uznał to za osobistą dla siebie obelgę. Jakkolwiek w rubryce „O prawdę,“ po za tekstem redakcyjnym, pozostawiamy autorom, a zwłaszcza współpracownikom naszym, swobodę z własną ich odpowiedzialnością za treść i formę pomieszczonych tam artykułów i jakkolwiek p. M. nie zwrócił się do nas z pretensyą, poczytujemy jednak za swój obowiązek zapewnić, że żadne wymysły nie mieszczą się w granicach owej swobody, że w obecnym wypadku widzieliśmy i wolimy widzieć dotąd tylko grę słów, nieprzyczepionych wyraźnie do nikogo i że redakcya nasza nie mogła mieć ani powodu, ani chęci otworzenia w *Prawdzie* przejścia zniewadze dla p. Mieszkowskiego, dla którego od lat wielu żywimy szacunek.

Tyle co do naszego stanowiska w tej sprawie. Sam zaś p. C. J. przesyła nam poniższe wyjaśnienie:

„Już po napisaniu artykułu mojego p. t. „O marną zgraję,“ dowiedziałem się, że autorem *niepodpisanej* wzmianki w *Kuryerze codziennym*, która była powodem użytej przeze mnie gry słów, nie był p. Mieszkowski. W imię przeto słuszności, której obowiązek ciąży na każdym *szanującym się* człowieku, ale która widocznie nie obowiązuje ukrywającego się dotąd z chlubną wytrwałością autora rzeczonej wzmianki — uważam za właściwe podać niniejszem następujące wyjaśnienie:

W artykule moim p. t. „O prawdę,“ zamieszczonym w nr. 9 *Prawdy*, nazwisko Mieszkowski nie odnosiło się do p. Antoniego Mieszkowskiego, redaktora *Kuryera codziennego*, nie miałem bowiem ani zasady, ani zamiaru obrażania go osobiście.

Cezary Jellenta“

II.

Odpowiedź na art. „Plamy na słońcu.“

Bezstronny obserwator życia naszych ziemian nie może zaprzeczyć tego faktu, że śród nich w ostatnim lat dziesiątku odbyła się i odbywa głęboka zmiana stosunków, pojęć i poglądów na życie.

Wskutek ogólno-światowego przesilenia rolnego, wszystko, co słabsze lub na fałszywych oparte podstawach, ginie z powierzchni życia, jak na morzu ginie statek przeciążony, niezdolny do szybkich zwrotów i do stawienia czoła burzy. Rozpaczliwe krzyki o ratunek ginących ziemian w społeczeństwie naszem wzbudziły trochę współczucia, zaprawionego ironią, wiele dobrych chęci, co wszystko razem wzięte, skazanym na zagładę nic nie pomogło. Ci, co pozostali i mają nadzieję, że pozostaną nadal przy zagonie, niczego się od nikogo nie spodziewają i o nic nikogo nie proszą, przykro im tylko a nawet boleśnie, gdy w prasie często spotykają głosy i poglądy, które całą, tak liczną klasę ziemian pod jedną podciągają miarę, zapominając, że dziś kojarzenie takich pojęć jak: pachciarz i szlachcic, cham i pan, harapnik i ekonom, jest spóźnione i co najmniej śmieszne. Tych, którzy na przeciętnym 20-włókowym folwarku układają swój budżet wedle szematu, wskazanego w artykule „Plamy na słońcu,“ tych rzeczywiście czeka zagłada, a im prędzej to nastąpi, tem lepiej.

Lecz dzięki Bogu takich, jak p. Pług pana N. R., znajdzie się u nas w powiecie zaledwie kilku; nie stanowią oni ogółu, są dziś wyjątkami, które życiem nad stan wzbudzają politowanie w tych, co oddani pracy na zagonie, nie znają całego sztabu próżniaków, jak: kucharzy, lokajów, szafarek, chłopców kredensowych, forysiów etc. Częściej można spotkać u właściciela średniego folwarczku cztery konie cugowe, ale trzyma się je nie dla szyku, gdyż niezbędny w gospodarstwie przychówek można mieć tylko od klaczy, które lżej pracują. Zresztą, potrzebne są ciągle konie do użytków pobocznych: trzeba samemu nieraz wyjechać, nie koniecznie z wizytą, lecz w interesach, posłać po doktora, po księdza, dać koni pod przejazd urzędników itd. Rzadziej już, lecz względnie dość często, można po dworach spotkać kucharza, lecz ten sam kucharz pełni czynności gospodyni, lub ogrodnika. O wierzchowcach dla przyjemności, kucach, nie słyszy się wcale; na to pozwalają sobie albo ludzie zamożni, albo szaleńcy.

Położenie robotnika, parobka, nie jest świetne, jednakże nie tak rozpaczliwe, jak to usiłuje wykazać p. Napoleon Rouba. Dziś wskutek emigracyi do Ameryki i mniejszej podaży rąk roboczych, warunki bytu znacznie się poprawiły. Ziemianie uczciwi a przedewszystkiem rozsądni we własnym interesie starają się byt służącego poprawić i na tej drodze osiągnięto do pewnego stopnia dodatnie rezultaty. Nieprawdą jest, jakoby miara i jakość zboża była inną na sprzedaż a inną dla służby. Mogą być wyjątki, lecz wyjątki te godne są potępienia i nie stanowią wyłącznego przywileju stanu ziemiańskiego.

Dobrobyt służącego jest w wysokim stopniu zależny także od osobistych przymiotów jego żony lub gospodyni, stąd kiedy u jednego niedostatek, drugi nietylko syty i przyodziany, ale jeszcze robi drobne oszczędności.

Nie wchodzę w szczegóły co do wynagrodzenia robotnika, gdyż z cyfr podanych przez p. N. R. widzę, że przynajmniej w naszej gubernii (płockiej), cyfry te przedstawiają się o wiele korzystniej dla służących. I tak, parobek otrzymuje rocznie: zasług 25—28 rs.; żyta 6 korcy (wagi 232 f.); grochu $1\frac{1}{2}$ korca; jęczmienia $1\frac{1}{4}$ korca; pszenicy $\frac{1}{2}$ korca; owsa lub tatarki korzec; torfu sześć sążni sześcien. lub sześć $^1/_4$ drzewa; pół morga roli pod kartofle na świeżym lub 2-go letnim nawozie, w tem samem polu gdzie i dworskie; prócz tego parę zagonów na podbierkę w czasie lata; utrzymanie dla jednej a w wielu razach dla dwóch krów; cztery garnce soli; dwa worki kapusty; przy domu ogródek na warzywo, możność chowania kilkunastu sztuk drobiu, pomoc w chorobie, doktór i lekarstwa bezpłatnie.

Jest to wynagrodzenie bez służącego (posyłki) *). Ze służącym otrzymuje trzy korce więcej ziarna, ćwierć morga roli pod kartofle i dwa sążnie torfu, lub pół sążnia drzewa.

Niemożebną jest rzeczą, aby żona parobka swoją pracą w ciągu żniw zrównoważyła budżet, zarabiając około 20 rs., jak chce p. N. R. Żniwa trwają około 2 i pół miesięcy, mniej więcej od 25 czerwca do 10 września; dni roboczych mamy w tym czasie 65, nie odtrącając słotnych; żona parobka wychodzi do roboty od południa, gdyż, jak p. N. R. powiada, przed obiadem musi dwa razy zanieść mężowi strawę i zakrzątnąć się około dzieci i domowego gospodarstwa. Za pół dnia dostaje w czasie najdroższej zapłaty 15 kop., czyli maximum może zarobić 9 rs. 75 kop. Jak to daleko do 20 rs.! Z tego widać, że p. N. R. chcąc koniecznie przy życiu utrzymać parobka, każe jego żonie pracować przez $130\frac{1}{2}$ półdniówek, czyli żniwom trwać pięć miesięcy! Złodziei między służbą dworską jest niewielu, a biorąc pod uwagę niski stan oświaty i moralności, nie powiem, aby procentowo było ich więcej niż w innych, chociażby nawet i inteligentnych klasach naszego społeczeństwa. Pijaństwo należy do wyjątków, co sprawiedliwość każe przyznać, w znacznej mierze zawdzięczamy nie nędzy parobka, jak chce p. N. R., lecz nieustannemu nawoływaniu księży.

(D. n.).

Ludwik Chełmicki.

KRONIKA.

Doniesienia urzędowe. *Praw. Wiest.* zamieszcza opis zaburzeń, jakie d. 20 lutego, podczas obchodu rocznicy założenia uniwersytetu w Petersburgu, wywołali tamtejsi studenci, którzy w stanie nietrzeźwym wtarg-

---

*) Posyłka zarabia we dworze około 40 rs. rocznie, sam zaś bierze zasług od parobka około 20, tak że 20 rs. pobiera parobek jako dodatek za życie.

nęli tłumnie do rozmaitych zakładów publicznych i dopuścili się nadużyć.

Rozporządzenia władzy. „P. minister spraw wewnętrznych na zasadzie § 178-go ust. cenz (wyd. 1890 r.) uznał za niezbędne zabronić sprzedaży detalicznej na ulicach i placach oraz innych miejscach publicznych, wreszcie przez roznosicieli broszury „Cesarz Mikołaj,“ szkic, wydanie petersburskie miesięcznika *Siewianin* 1894-go r.

— *Praw. wiest.* pisze, iż ze względu, że dziennik *Nabludatiel* nie przestawał uporczywie trzymać się nagannego kierunku, czego dowodem są zamieszczone w zeszycie wydawnictwa za miesiąc luty artykuły (przychylne dla socyalizmu) „Nowe umysłowe ruchy Niemiec,“ minister spraw wewnętrznych postanowił „udzielić temu pismu pierwsze ostrzeżenie.“

Sprostowanie. Na podstawie doniesień pism rosyjskich wzmiankowaliśmy (nr. 6) o badaniach *prof. Wysockiego* z Kijowa nad surowicą. Otóż jeden z abonentów naszych prostuje tę wiadomość w nazwisku, gdyż owym profesorem nie jest *Wysocki*, lecz *Pawłowski*.

Teatr. W teatrze Wielkim rozpoczęły się przedstawienia trupy ruskiej dramatycznej pod dyrekcyą p. Sawiny.

Sprawy społeczne. *Petersb. listok* donosi, że sprawa przywrócenia dawnych nazw ruskich osad i wsi w krajach północno i południowo-zachodnich, jest bliską urzeczywistnienia.

Koleje i komunikacye. Kolej Mikołajewska postanowiła wprowadzić bilety bezpośrednie dla komunikacyi Warszawy i stacyi pozawarszawskich z Petersburgiem przez Moskwę. Opłata pobierana będzie za całą przestrzeń według taryf strefowych.

— Zarząd centralny kolei rządowych wydał rozporządzenie, na którego mocy lekarzom kolejowym nie wolno zajmować posad jednocześnie w innych instytucyach.

Szkoły. Włoski minister oświaty pozwolił otworzyć zamknięte wskutek zamieszek studenckich uniwersytety w Rzymie, Neapolu i Palermie.

— W 1895/6 roku do szkół fińskich wprowadzona będzie, jako osobny przedmiot, konwersacya w języku rosyjskim.

Wystawy i zjazdy. Dn. 3 b. m. otwarto w Petersburgu wystawę drukarską.

— Dn. 3 b. m. w Kijowie otwarto trzeci zjazd gospodarzy rolnych.

— Wkrótce w Petersburgu odbędzie się zjazd przedstawicieli banków ziemskich akcyjnych dla naradzenia się pomiędzy innemi nad sprawą kredytu melioracyjnego.

— W Stanisławowie (Galicya) odbędzie się zjazd krajowych towarzystw prawniczych 29 i 30 czerwca.

— Zarząd warszawskiego Towarzystwa ogrodniczego ułożył budżet wydatków tegorocznej wystawy ogólnej płodów ogrodniczych na sumę 10,000 rs.

— W Paryżu urządzona będzie w r. b. wystawa myśliwska.

Zmarli. Gustaw Giżycki w Berlinie; profesor uniwersytetu miejscowego.

— Stanisław Niedzielski w Warszawie, kompozytor muzyczny i nauczyciel śpiewu, były dyrektor opery lwowskiej, następnie Towarzystwa muzycznego we Lwowie, wreszcie „Lutni“ w Łodzi.

— Kazimierz Wolski, w Warszawie; artysta malarz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu B. S. w Kamieńcu Pod. Tłomacze mają zupełną swobodę i co najwyżej obowiązuje ich względem autorów naturalny akt grzeczności zawiadomienia o przekładzie.

St. Wprawdzie *Vorstellung* znaczy także: *przedstawienie* (np. teatralne), ale w psychologii tłomaczy się przez *wyobrażenie*.

Stałej czytelniczce. Nie możemy z listu dociec, co Panią uraża. Czy według Pani lepiej jest, gdy np. majątek subhastowany zostanie kupiony za tanie pieniądze przez wierzyciela, który go zniszczy, a innych, często biednych wierzycieli zrzuci z hipoteki, niż gdyby nabywcą był ziemianin, który pokryłby wyżej zobowiązania dłużnika i ziemię utrzymał w kulturze? Jeżeli tak, to upodobania do tej etyki poprostu nie pojmujemy.

Stałemu czytelnikowi. „Wybór przez aklamacyę“— znaczy wybór przez okrzyknięcie go na czyjś wniosek, a jakkolwiek teoretycznie powinien on być dokonany powszechną zgodą całego zgromadzenia, praktycznie wystarcza widoczna większość, uwalniająca od głosowania.

Panu Józ. Drz. Byłby to jeszcze jeden groch na ścianę.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Февраля 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.